

Prenumerata w Warszawie

Rocznie	Rs. 7 kop.	—
Półrocznie	„ 3 „	50
Kwartalnie	„ 1 „	75
Miesięcznie	„ — „	60

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi w Cesarstwie i zagranicą:

Rocznie	Rs. 9 kop.	—
Półrocznie	„ 4 „	50
Kwartalnie	„ 2 „	25

Drobnych rękopisów redakcyja nie zwraca.

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia T. Paprockiego i S-ki oraz Warszawskie biuro ogłoszeń (Wierzbowa № 8 po k. 10 za wiersz petitem lub za jego miejsce Reklamny po kop. 20.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Smolna (Wysoka) Nr. 24.
Ekspedycya główna: Nowy - Świat Nr. 41,
w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

T R E Ś C:

- Sympatye i Interesy, przez *J. P.*
Ginekologia i Socyologia, przez *I. K. Potockiego.*
Zasady praktyczne etyki, przez *M. Golberga.*
Medium w osobie E. Palladino, przez *Dr. J. Harusewicz.*
Z literatury i sztuki współczesnej, przez *Kate.*
Bez obłudy, przez *Maryana Bohusza.*
Głosy. Nowa Niwa. — Odczyty popularne. — *Przegląd katolicki* w kłopotcie. — Imiona żydowskie. — Reforma sądów gminnych.
Korespondencya „Głosu“: Z Płockiego.
Przegląd społeczny. Łódź. Sosnowice. Petersburg. Lwów.
Przegląd polityczny.
Kronika powszechna.
Ogłoszenia.
Odcinek. Handelek, Powieść, przez *Teod. Tom. Jęsa*

SYMPATYE I INTERESY.

Wielkie państwa Europy z wyjątkiem Anglii ale z całą plejadą państw drobniejszych, jak powszechnie wiadomo, tworzą dwa obozy, pomiędzy którymi istnieje pewien antagonizm. Ma się rozumieć, stosunki pomiędzy pojedynczymi państwami, do obu grup należącymi, są w rozmaitym stopniu naprężone, w każdym razie antagonizm polityczny, mniej lub więcej wyraźny jest faktem niewątpliwym.

Obok politycznego istnieje też antagonizm ekonomiczny. Nie można jednak powiedzieć, żeby drugi był przyczyną pierwszego, owszem raczej zauważyć można, że sprzeczność interesów politycznych wywołała nieporozumienia ekonomiczne. Polityka ekonomiczna Bismarcka względem Rosyi jest najlepszym tego dowodem. Antagonizm może nie doprowadzić wcale do walki orężnej, której właściwie nikt sobie nie życzy, rezultatem jego jest tylko ciągły wzrost militarystyki, uważanego jednak za najlepszy środek utrzymania pokoju. Natomiast antagonizm ekonomiczny jest w wielu wypadkach ciężarem, trudnym do zniesienia, jednocześnie zaś bardziej aniżeli zatargi polityczne budzi w masach uczucia nieprzyjazne i z tego względu jest dla sprawy pokoju niebezpieczniejszym. Walka ekonomiczna wytwarza położenie, z którego jedynym wyjściem może być wojna.

Z tego powodu państwa, pragnące utrzymać pokój, pomimo dzielącej je sprzeczności interesów wyrażają szczerą chęć uregulowania stosunków ekonomicznych pomiędzy sobą. Nie jest to zadaniem łatwym wobec poprzedniego zaostrzenia stosunków, oraz wobec sprzecznych interesów różnych warstw ludności. W każdym razie dążenie do ustanowienia ekonomicznego modus vivendi staje się coraz wyraźniejszym. Obecnie toczą się układy handlowe pomiędzy Rosją i Niemcami, oraz pomiędzy Rosją i Austrią. Włochy zaś pragnęły wejść w podobne porozumienie z Francją. Wymagania życia biorą górę nad antagonizmem państwowymi. Niewątpliwie rząd niemiecki pragnie zawarcia traktatu handlowego z Rosją i dokłada wszelkich starań, ażeby sprawę tę pomyślnie załatwić. Nie zawahał się nawet dla tego narazić stronnictwu, na którym opierał się najchętniej w polityce zewnętrznej i wewnętrznej. Rząd austriacki również okazuje się przychylnie usposobionym w tym względzie i zawarcie traktatów handlowych między sąsiednimi mocarstwami jest bardzo prawdopodobnem, niemal zupełnie pewnem.

Traktat handlowy jest dla Rosyi i dla Niemiec pożądanym; wiadomo, jakie straty ponosi rolnictwo w państwie ruskim z powodu zatautowania wywozu zboża, przemysł niemiecki zaś stracił rynek zbytu i musiał ograniczyć produkcję. Nawiazanie przerwanych stosunków handlowych wpłynie też w pewnej mierze na stosunki polityczne pomiędzy dwoma mocarstwami sąsiednimi.

Sojusz polityczny Rosyi z Francją starano się umocnić za pomocą traktatów handlowych, w zamian za dosyć znaczne ustępstwa celne dla towarów francuskich Rosya otrzymała jedną tylko poważną ulgę dla nafty kaukaskiej, ale i ta ulga straciła obecnie doniosłość, kiedy zaczęto ją również stosować do nafty amerykańskiej. Zboże z Rosyi nie korzysta we Francyi z ulg specjalnych, nie udało się nawet otrzymać obniżenia cła w ogóle. Przeciwnie, Francya myśli obecnie o podniesieniu cła i o tej właściwie sprawie chcemy obszerniej pomówić.

Niedawno jeszcze pszenica ruska stanowiła około 40% całej ilości tego zboża, przywożonej do Francyi. Obecnie, wskutek cła, obowiązującego od 1885 r. dowóz pszenicy z Rosyi spadł do 16%, dowóz zaś z Ameryki i Indyi wschodnich podniósł się od 21% do 56% ogólnej ilości.

Rolnicy francuscy dowodzą, że cło jest koniecznem, współzawodnictwo bowiem obcego zboża zabija produkcję miejscową. Istotnie

cenę pszenicy w ciągu lat dwudziestu spadają ciągle.

Kiedy w 1871—1873 r. za sto kilogr. pszenicy płacono od 30 do 33 franków, cena ta, zniżając się stopniowo, spadła w 1884 r. do 23 franków. Przy takiej cenie produkcya już się nie opłaca w większości wypadków, tak przynajmniej twierdzą przedstawiciele rolnictwa francuskiego. Wskutek ich przedstawień izby uchwały w r. 1885 cło w ilości 5 franków od 100 kilogramów pszenicy, ale wysoka ta opłata nie wpłynęła w takim stopniu na ceny, jak się spodziewano. Tylko w roku powszechnego niemal nieurodzaju (1891 r.) cena pszenicy doszła do 27 franków za 100 kilo, pomimo że cło czasowo zniżono do 3 franków, w innych zaś latach nie przekraczała 25 franków. W roku bieżącym wskutek większego niż zwykle dowozu zboża z Rosyi i z Ameryki cena spadła do 20 franków, co niewątpliwie nie opłaca już kosztów produkcji. Bo 20 franków za 100 kilo—to 5 rs. za 6 pudów (w danym wypadku należy liczyć nominalną wartość franka), taka cena zaś u nas nawet uważana jest na niską, zaledwie pokrywającą koszty. Wobec tego rolnicy francuscy żądają podwyższenia cła do 8 franków z tem zastrzeżeniem, że przy cenie od 25 do 30 franków za 100 kilo będzie ono odpowiednio zmniejszane, kiedy zaś cena przekroczy 30 franków — zupełnie zniesione. Nie ulega prawie wątpliwości, że rząd i izba zgodzą się na to żądanie, tymbardziej, że przedstawiciele interesów rolnictwa stanowią poważną siłę większości parlamentarnej. Wtedy jednak przywóz pszenicy z Rosyi zupełnie ustanie, zboże bowiem nie wytrzyma cła, wynoszącego około 42 kopiejek od puda. *Nowoje Wremia*, pisząc o projekcie podwyższenia cła, powiada: „gdybyśmy nie wierzyli w szczerą sympatyi politycznych Francyi, musielibyśmy projekt ten uważać za wymierzony specjalnie przeciw przywozowi zboża z Rosyi.“ Istotnie, pszenica amerykańska i wschodnio-indyjska taką podwyżkę cła zniosą, ale zboże ruskie, które teraz już idzie w znacznie mniejszej niż poprzednio ilości na rynek francuski, nie pójdzie tam wcale. Francuzi, którzy wymyślili zdanie „les bons comptes font les bons amis“ oceniają zapewne ważność utrzymania stosunków handlowych i, podnosząc cło, działają pod naciskiem konieczności. Z drugiej strony jednak Rosya, nic prawie nie zyskując w zamian za specjalne ulgi, przyznane towarom francuskim, traci dużo na zatautowaniu wywozu zboża do Francyi.

Wobec podniesienia ceł zbożowych we Francyi ugoda handlowa z Niemcami nabiera tym

większego znaczenia; otwiera bowiem w danej chwili zamknięty, a poprzednio już tak silnie obwarowany łożem, rynek że dostęp doniego był trudny. Obawiać się tylko można, że Niemcy na wiadomość o podwyższeniu ceł zbożowych we Francji zaczną się drożyć, chcąc skorzystać z położenia. Prawdopodobniejszym jest jednak, że rozumiejąc wpływ, jaki między państwowe stosunki ekonomiczne wywierają na sympaty i antagonizmy polityczne, zgodzą się chętnie na warunki ugody i w ten sposób pozyskają pewną podstawę dla uregulowania stosunku swego do Rosyi. J. L.

Ginekologia i Socyologia.

Z powodu mowy prof. d-ra H. Fehlinga.

I.

Przyswojono znowu naszemu piśmiennictwu jeden z tych utworów literacko-filozoficznych, jakimi strwożona burżuazja europejska próbuje od czasu do czasu zażegnać grozę, przez siebie wywołaną. Zburzywszy, w widokach własnych rodzinę dotychczasową, zawlokłszy nawpółsennie kobiety i dzieci do warsztatów i machin dla dobra ojczyzno-przemysłu, mieszczanstwo zachodnie powierza swym uczonym i mężom stanu, poetom i dyrektorom banków, ekonomistom i akuszerom szczytne posłannictwo przekonywania tłumów, że jedynym zawodem kobiety jest macierzyństwo, oraz że we wszelkich powołaniach innych kobieta nigdy nie dorówna mężczyźnie.

Dr. H. Fehling, rektor uniwersytetu w Bazylei, autor wspomnianej w nagłówku „mowy” o *Przeznaczeniu kobiety, stanowisku jej w obec rodziny i powołaniu*, wstępując na mównicę, miał zamiar „nie z tylekroć powtarzanych w tej materii komunałów nie potrącić”, a natomiast „traktować rzecz ze swego wyłącznie punktu zapatrywania”; że zaś jest profesorem ginekologii i położnictwa, o wiele lepiej zdołał zrozumieć i uwydatnić różnice cielesnej organizacyi kobiet, aniżeli odrębności jej du-

chowe i stanowisko w społeczeństwie dzisiejszym albo jutrzejszym.

Mimo woli więc i chęci autora „tylekroć powtarzane komunały” słuszne i fałszywe zjawiają się w jego książeczce, gdy tylko wkrocza on do zakresu psychologii albo socjologii. Kobieta jest dla niego, tak samo jak dla wielu innych, strażniczką pierwiastków idealnych. W roli tej utrzymać ją należy. „Nieświadomość w przedmiocie stosunku płciowego jest przeciw normalnym stanem panny z uczciwego domu, wstępującej w związku małżeńskie.” Nieświadomość taka stanowi jednak pewien rodzaj specyału, kultywowanego sztucznie i znamionującego *panny*; co do „ukształconych młodych dziewczyn” to nie tylko pozwala im autor, ale i doradza szukać zarobku w akuszerii, a to dla dobra tychże idealnych pierwiastków pań, przez nie obsługiwanych. Myśl o równouprawnieniu wyprowadza bazylejskiego rektora z równowagi i znowu każe mu nos w nos spotkać się z komunalem. „Gdyby raz tę sprawę należyście postawiono, sama z siebie wyszłaby na wierzch potrzeba dania kontyngensu obronie kraju, a jakoś głucho o tem do tej pory w szeregach domagających się równouprawnienia.” Ciekawa rzecz, co byłoby wyszło na wierzch, gdyby od mężczyzn zażądano kontyngensu do rodzenia dzieci; zawód ten, jak mógł zauważyć autor ze „swego wyłącznie punktu zapatrywania”, jest o wiele cięższym i pochłania więcej ofiar, aniżeli „wyszukanie, podniecenie i opanowanie płci drugiej”, cechujące podług niego mężczyzn. Zresztą, zarzut co do „kontyngensu obrony”, w przyszłości, może już niedalekiej, będzie wyglądał tak, jak up. dzisiaj wyglądałoby potępienie pań z towarzystwa za to, że „nie mają nawet odwagi policzkować się albo się okładać kijami na ulicy.”

Mówiąc o różnicach duchowych autor staje się kwaśnym stemplencistą. Różnicę istotną, zdaniem jego, stanowi „nie tęgość umysłu, ale jego rodzaj. O ile jednak obłudnym jest to twierdzenie, można się przekonać z mnóstwa oświadczeń innych, przepelniających książkę. „Kobieta w większości wypadków łatwo dopuszcza przewagi (?) uczucia nad rozumem, nie zawsze też ułaje się jej rozróżnić okoliczności główne od pobocznych, wogóle sąd kobiecy podległy bywa łatwiej wpływom aniżeli męzki. Nie podlegające zarzutom próby wykazały, że wrażenia umysłowe dotyku, temperatury, smaku i powonienia tak co do natężenia

swego, jak i co do czasu trwania słabsze są u kobiety.” W medycynie i sztuce położniczej „wiedza i praktyka niejedno kobietom zawdzięcza, ale co się tyczy wielkich pryncypiów leczenia, te, jak świadczy sama historia akuszerii, postawione zostały wyłącznie przez mężczyzn... kobieta, która przez tysiące lat uważała położnictwo jako swój atrybut wyłączny, zrobiła dla tej gałęzi wiedzy tak dobrze jak nie, podczas gdy wszystkie doniosłe zdobycze w tej nauce są dziełem mężczyzny...” To też powoli autor przechyla się na korzyść większej „tęgości” umysłu męskiego, jakkolwiek nie mówi o tem wyraźnie „Kobieta nie jest bynajmniej równą mężczyźnie, tym mniej uważaną być może jako wyższa; przeznaczeniem jej jest uzupełnić mężczyznę. Na otwartym gościńcu ku najwyższym zagadnieniom nauki dla wszystkich jest miejsce, a więc i dla kobiety, co z wami (studentami) współzawodniczyce zamierza, jeżeli jednak wy zużytkować zechcecie siły, która wam dała natura, to w przyszłości, zarówno jak od wieków, twórczy duch męzki będzie świat poruszać i przeobrażać.”

Zdaje się, że dawny spór pomiędzy stronnikami *niższości* umysłu kobiecego oraz jego *odmienności* można byłoby rozstrzygnąć, jeżeli nie ku zadowoleniu stron obu, to przynajmniej zgodnie z wymaganiami logiki i prawdy. Niższość albo wyższość umysłu bynajmniej nie wyłącza odmienności tegoż, tak samo jak niższość cielesnej organizacyi nie wyklucza odmienności jej typu.

Sprawa ewentualnej niższości umysłu kobiecego nie posiada, jak sądzę, zbyt wielkiej wagi. Niepotrzebnie i nie właściwie zespolono ją ze sprawą równouprawnienia, pomimo, że w rozstrzygnięciu innych zagadnień pokrewnych nie wahało się ujednostajnić np. wyborcze prawo profesorów uniwersytetu oraz zaledwie umiejących czytać robotników. W rozwiązaniu takim znaczenie orzekające miała oczywiście nie równość uzdolnień umysłowych, ale doniosłość danej warstwy, jako czynnika życia społecznego. Bardziej zajmującą pod względem praktycznym byłaby odpowiedź na pytanie, dotyczące odmienności i kobiecego ducha; odpowiedź ta dałaby nam pewne wskazówki co do właściwego stanowiska i roli kobiet w pracach społeczeństwa.

Aby raz już skończyć z kwestyą „niższości”, należałoby dokonać wyczerpującego i sumiennego rozbioru psychologicznego — w duchu

HANDELEK

POWIEŚĆ

przez

Tec. Tom. Jeża.

Dalszy ciąg.

W chwili, kiedy furman odpoczynek zapowiedział, przytulona głową do sukna, którem wewnątrz buda wybita była, cicho płakała.

— Można wysiąść i kości rozprostować... — odezwała się Katarzyna.

Odpowiedziało jej tłumione łkanie.

— O! jest czego płakać... Lepiej by panienska przekąsiła... Jest bułka, jest kura pieczona, hałwa...

— Dziękuję...

— Przecie coś przejeść potrzeba...

— Nie... dziękuję... — powtórzyła dziewczyna.

O panią Kropilską już nie pytała, pomimo bowiem odmetu, jaki w jej głowie panował, zmiarkowała, że widzenie się z nią nastąpić może po dniu chyba, że do niej odbywa podróż, która dni parę z powrotem do matki zabierze. O powrocie myślała. Rojenia o wymknięciu się w świat samowolnie pierzchły jej z głowy w tej chwili. Zajmowała ją matka: co ona sobie myśli? — co robi?... Żal jej serce ścisłał.

„Mama... mama”...

Katarzyna wysiadła. Czas jakiś jej nie było, tylko od czasu do czasu słyszeć się dawały wymawiane przez nią wyrazy pojedyncze i frazesy krótkie, świadczące, że bierze udział w rozmowie, wespół z furmanem i miszuryssem. Rozmowa toczyła się spokojnie. Joasia słuch nastawiła. Doszła ją uwaga furmana, że krótsza droga byłaby na Michaleni, ale, jeżeli w Pojenach mostu nie naprawili, trzeba będzie wziąć się na Dorohoje. Nic to jej nie wyjaśniało. Nazwy obce miejscowości żadnej nie dawały skazówki. Domyślała się jeno, że się podróż na dłuższą zanosi. Słuchała dalej. Do uszów jej dochodziło chrupanie koni, któremu wtórowały odgłosy, znamionujące przeżuwanie ludzkie. Odbywało się to w milczeniu i po ciemku. Następnie po zydowsku rzucił słów parę furman, w tymże języku odpowiedział mu miszurys i odezwał się do Katarzyny.

— Nu, a ty w koczu się prześpisz...

— Prześpię się pod koczem... — odrzekła.

Dziewczyna płacze, niechże się wypłacze... Jeść nie chciała; zaniosę jej wody, może się napije...

— Kiszka nałana, czy napchana to jedno... — mruknął furman, krzesząc ogień, od którego błyskawiczna przeświecała jasność.

W chwilę później, przy drzwiczkach od powozu jawiła się Katarzyna i przemówiła:

— Nie chciała panienska jeść; może się napije...

— Proszę... — odpowiedziała Joasia, chwytając podawany jej kufelek i niosąc go do ust.

Napiła się, kufelek oddała i głosem niepewnym a prośbą nabrzmiałym przemówiła:

— Wracajmy jutro...

— Ta dokąd?...? — zapytała Katarzyna.

— Do Czerniejowiec...

— O ho ho!... Co paniencie w głowie?... Proszę się lepiej przespać... Pani Kropilaska czeka...

Ostatnie wyrazy dodały dziewczynie otuchy. Pani Kropilaska wyobraziła się jej, jako niby anioł opiekuńczy, który i matkę pocieszy, i ją przed matką wytłumaczy i usprawiedliwi, wreszcie zastąpi ją przed czyhającym na nią hrabią. Wyobrażało się jej nie to tylko. Drogą powinowactwa idei doszła do tego, że, pomimo zerwania małżeństwa z hrabią, poczynione na wyprawę w Czerniejowcach sprawunki przy niej zostaną.

„Mama je pochowa”... — myślała sobie. Sen ją opanowywać począł; drzemała, budziła się w moment, zasnęła mocniej nad rankiem dopiero, ale na krótko. O wschodzie słońca przerażający jakiś miała sen; otworzyła oczy i ujrziała Katarzynę, która tylko co widać wstała, wyciągała się bowiem i ziewała.

— Trzeba wyleźć z kocza... — odezwała się ta ostatnia tonem prawie rozkazu, przejeść się trochę i umyć: tu rzeczka nie daleko... Joasia wysiadła; czuła się, jakby złamaną a

badań nowożytnych. Dla uniknięcia możliwej stronności sądu, potrzeba byłoby zadać sobie naprzód pytanie wstępne, co stanowi wogóle znamię wyższości umysłowej—niezależnie od takiej lub innej płci osobnika. Rozbiór musiałby dotykać kolejno dziedzin rozumu, uczucia i woli, w każdej z nich roztrząsnąć szczegółowo pierwiastki i czynniki, a w końcu dokonać ich syntezę podług pewnej ogólnej skali wstępującej. Badanie czynników elementarnych w wielu razach mogłoby wtedy znaleźć całkiem przedmiotowy, doświadczalny probierz niższości, albo wyższości (np. sprytność i natężenie wrażeń zmysłowych, sprawności uwagi, przypomnienia, kojarzenia się i t. p.) Na wyższych szczeblach skali porównawczej wskazówką mogłyby już być pewne wnioski ogólniejsze, osiągnięte z doświadczeń, miarą zaś pewne znamiona bardziej złożone i pochodne, zdolność analizy i syntezy, abstrahowania, uogólniania itd. W zakresie uczuć można byłoby zadowolnić się bodaj spencerowskim podziałem ich na egoistyczne, ego-altruistyczne i altruistyczne, a szacując stosunkową ich niższość lub wyższość—uwzględniać nie tylko przedmiot, źródło, ale w szczególności udział wyobrażeń (idei) i pojęć bardziej oderwanych.

W zakresie woli również dość łatwo, jak sądzę, byłoby można ustanowić porównawczą skalę „bezpleciową“, tj. nie uwzględniającą jeszcze *innosci* stanów psychicznych, lecz tylko ich wyższość i niższość: popędowość i odruchowość działań, stałość i stanowczość woli, a nade wszystko zdolność otamowania (inhibition), powściągnięcia się—należałoby zbadać przedewszystkiem

Badanie *odmienności* umysłu kobiecego również nie doczekało się dotąd pracy wyczerpującej i uwzględniającej metody i zdobycze psychologii dzisiejszej. W większości wypadków zadawano się tylko zestawianiem i powtarzaniem wyników grubej obserwacji codziennej, nienaukowej.

Przypuszczać wolno, że skala odmienności w zakresie *rozumu* zbiegłaby się prawie całkowicie ze skalą niższości. Wątpliwem jest—pomimo pewnych pozorów i twierdzeń wielu pisarzy, czy istotnie takie właściwości umysłu jak zdolność uogólniania, wnioskowania, abstrahowania—odznaczają się u kobiet czemś innym, oprócz pewnych nieprawidłowości, wynikających bądź z nieprawowitego oddziaływania uczuć, bądź też z mniejszej sprawności samego umysłu. Natomiast wyraźniejsze róż-

nice jakościowe (nie wykluczające, jak wyżej, ilościowych) wystąpiłyby, jak sądzę, w dziedzinie uczuć i woli. Szczególnie cenne wskazówki znalazłaby psychologia, badając w zakresie uczuć—czucia organiczne: większa pojemność (*massiveness*) i mniejsza żywość ich reakcyi ustrojowej zabarwia je prawdopodobnie w sposób znamienny i odmienny. Przy zgłębianiu woli szczegółowo zbadanie zmysłu mięśniowego musiałoby również dać psychologom trwalszą od dotychczasowej podstawę do wyrokowania o inności lub tożsamości, wyższości albo niższości charakteru kobiet.

Rzecz prosta, że wszystkich tych badań przedsiębrać tu nie możemy. Nie stanowią też one, jak mówiłem, niezbędnego przygotowania do rozpraw o równouprawnieniu kobiet z mężczyznami. Nie wyższość albo niższość, nie inność lub jednakowość ducha kobiety jest istotną pobudką, zagrzewającą przeciwników emancypacji.

Pomijając względy współzawodnictwa ekonomicznego—o których mówić tu nie będziemy, znaczenie najważniejsze mają w tej walce dwa głęboko zakorzenione przesady: 1) kobieta jest strażniczką pierwiastków idealnych, zaś równouprawnienie pozbawi ją tego charakteru; 2) istotnem powołaniem kobiety jest rodzina, zaś emancypacja jest wrogiem rodziny. Te właśnie nieporozumienia usuwać i zwalczać powinien publicysta, mąż stanu albo działacz praktyczny, nie zaś owe nie tak łatwe do usunięcia i rozstrzygnięcia i nie tak ważne spory o wyższości i odmienności.

Należy wykazać, że nie ku zagładzie, ale ku zachowaniu pierwiastków idealnych, że nie na szkodę lecz na pożytek rodziny potrzebnem jest równouprawnienie. Przedewszystkiem więc rozważmy przesąd o „idealności“ kobiet.

II.

Gdyby słońce poezji nie ozlacało nizin naszego życia, gdyby gorący jego promień nie wypalał bagnisk cuchnących, nie rozsypywał w proch zarodów pleśni i zgnilizny—musielibyśmy albo ratować się naiwnym cynizmem zwierząt, albo się dławić atmosferą brudu i upodlenia, świadomością prometeuszów, rzucanych na dno kloaczego dołu.

Zdaje się, że przyroda zrobiła z nas godną siebie zabawkę. „Wszystko nam dałaś, co dać mogłaś, pani!“ — powiedziałby poeta W krew naszą wlała popędy i pożądanja wszystkich tworów moich, po to tylko, aby

nasz nienasycony głód ideału pożerał je kolejno, tłumił, przekształcał, przetapiał, sycąc niemi własny swój płomień. Ciało naszym sama nie pozwoliła oddzielić się przepaścią od brzydoty zwierzęcej, aby dokonała tego nieprzeparta, nie dająca nam wythnienia żądza piękna: krwawiąc palce, wydzierając jaskiniowiec grudki ziemi czerwonej, ostrzem krzemienia wpijał się w pierś własną — byle tylko ozdobić się znamieniem człowieczeństwa, pokonać szpetność małpoludów, dokonać tego, co po wielu tysiącoleciach, za cenę nieskończonej wyższości, robili komandorowie legii, albo ginące w jedwabiach i koronkach niewolnice tej samej żądzy tyrańskiej. Po trzęsawiskach zarosłych trzciną, i w gąszczu leśnym tulać się musiał biedny Um-kul-um-kulu, w pieczarach i jamach gnieździły się pierwsze zbiorowiska dwunogów — wśród których jednak żyli już praszczurowie przyszłych twórców piramid, ogrodów wiszących, bazylik i pałaców.

Ale najdłuższa, najbardziej nieublagana i i najbogatsza w tryumfy walka pomiędzy pierwotnym, zwierzęcym darem przyrody a czysto ludzkim dążeniem do nieznanych wyżyn toczy się w zakresie popędów rozrodczych.

Cyniczna w oszczędności swej przyroda nie chciała trudzić się nad takim rozgraniczeniem funkcji życiowych, które pozwoliłoby tonącym w rozkoszy kochankom nie zaznać nigdy dreszczów obrzydzenia. Poezja sentymentalna nie jedną już łzę uroniła nad owem „splugawieniem najświętszych tajemnic bytu“, nad nierozwiklanem prawie pomieszaniem zarodków życia i jego szczytków najbardziej upośledzonych. Bezmyślność zwierzęca przeszła nad tym grzechem przyrody do porządku, zakreślonego nakazami biernej, nieświadomej żyźności; ale twórczy duch człowieka stanął do walki z potęgą rozrodczą ciała.

J. K. Potocki.

Katarzyna poprowadziła ją do strumyka, co się mimo drogi śaczył, pomogła jej umyć się, dała ręcznik, grzebień i zwierciadełko. Obchodziła się z nią dobrotliwie, czem ujęta zadała jej zapytanie, tyżące się pani Kropilskiej.

— Niech panienka będzie spokojna...—była odpowiedź.

— Bo to mama...—zaczęła.

— Niech to panienka pani Kropilskiej zostawi...—przerwała.

— Uspokoi ją?...

— Jakże by nie... o!...—wzruszyła ramionami. Nie jedna od mamy przez nasze przesła ręce...

— Ach! to moja mama...

— Taka, jak mamy wszystkie...

— Odwiezie mnie?...

— Kto?...

— Pani Kropilska...

— Dokąd?...

— Do Czerniejowic...

Katarzyna ramionami wzruszyła i odpowiedziała:

— Czy ją wiem!... To się pokaże, a tymczasem chodźmy: konie już zaprzężone być muszą... Mamy przed sobą jeszcze kawałek drogi...

Konie w rzeczy samej były już założone. Usłużny miszurys, w czapce na bakier, na przechodzącą Joasię z góry spoglądał i pod nosem sobie z cicha gwizdał. Nie ukłonił się jej, nie pozdrowił. Przeszła mimo niego, do

powozu wsiadła; obok niej Katarzyna miejsce zajęła i nastąpiła w nieznanym kraju, ku nieznanemu celowi, podróży część dalsza.

Z rozmów z Katarzyną, a raczej z odpowiedzi, jakie ona na jej dawała pytania, poznała Joasia, że się z nią nie dogada. Zaniechała więc pytań, w milczeniu się zamknęła, i oddała się całkowicie kombinacyom, które się jej w myśli układały. W kombinacyach tych pani Kropilska zajmowała punkt osiowy. Około niej snuły się one, zrazu smutne, mjące na widoku uspokojenie matki, następnie trochę jaśniejsze, coraz to jaśniejsze i tak powoli, powoli, posuwające się naprzód ku tym złotym rojeniom, w których widziała siebie dobrodziejstwującą Józia Družbackiego. Rozwijało się to na podkładzie rezygnacyi; z jaką przyjąć musiała podróż mimowolną, która się wlekła i wlekła zgoła nie tak, jak w przejeździe z Czerniejowic do granicy, Furman nie pośpieszał. Konie szły truchtem zwany kłusem świńskim.

Na popasie Joasia się do jadła nakłoniła. Na noc znalazła się w jakimś mieście, w jakimś domostwie, w którym Katarzyna zaprowadziła ją do izdebki, nie zalecającej się nie tylko elegancją, ale nawet czystością. W izdebce tej podano jej wieszery, przyniesiono dla niej pościel, posłano łóżko i pozostawiono samą.

— Niech się panienka wyśpi dobrze... dobranoc.

Temi słowy pożegnała ją Katarzyna i,

odchodząc, drzwi na klucz z zewnątrz zamknęła.

Joasia, fizycznie znękana, moralnie zgnębiona, potrzebowała snu gwałtownie. Rozebrała się, pobożnie pacierz zmówiła, w łóżko się położyła i świecę zgasiła. Zasnęła od razu jak skoro głowę na poduszce położyła. Lecz jak prędko zasnęła, tak się prędko obudziła za sprawą kluczy piekących, podobnych do gryzień drobnych, które ją z pościeli podnosiły. Nie rozumiała co to znaczy. Obcierała się, drapała, nic nie pomagało. Zgaszonej świecy nie było czem zapalić. W ciemności walczyła ze snem i z tym wrogiem tajemniczym, co całe jej ciało od stóp do głowy klął, piekł, gryzł i litości nad nią nie miał. Walczyła, wreszcie w płacz uderzyła. Płacz ulgi nie przyniósł. Z łóżka wylazła, pociemku stołek znalazła, usiadła. Klucze ustało. Sen ją zmorzył, do łóżka powróciła, klucze się wznowiło. Powtarzała to razy kilka i zasnąć mogła dopiero o dnia świtanu.

— Któż widział tak długo spać!...

Słowa te, z akcentem głośno wymówione, rozbudziły Joasię. Wyszły one z ust Katarzyny, która dalej ciągnęła:

— Toć to już późno!... Trzeba wstać i ubrać się prędko, gość zaraz nadejdzie...

— Gość...

— Gość... no...—odpowiedziała i wyszła.

Wkrótce powróciła. Przyniosła na tacy konfitur w dwóch słoikach, wody w szklance, filiżaneczkę kawy czarnej i dwie, kajzerkami

Zasady praktyczne etyki.

H. Spencer, „La morale des differents peuples”
1893.

II.

Etyka pierwotna zawiera, jak wyżej wzmiankowaliśmy, zarówno czynniki moralne dodatnie, jak i ujemne. Napaść, kradzież i zemsta bywają często dodatnimi objawami moralności pierwotnej, bo pozwalają grupie społecznej rozwijać się normalnie; stan wojny osobistej wywołał potrzebę grupowania, grupa zaś, pracując i wytwarzając, zatracza powoli cechy wojownicze; toż samo można powiedzieć o kradzieży, tej napaści quasi-pokojowej; czasu wojny stuletniej rozbój był na porządku dziennym; żołnierze byli zbójcami, którzy napadali na mieszkańców i ogalać ich z majątku. „Włóscianie wychodzili na roboty polne, uzbrajając się od stóp do głów. Żołnierze byli okradani przez swych wyższych, a książęta napelniali szkatuły przez fabrykację fałszywej monety. Dziś czasy się już zmieniły; stan wojny ustąpił miejsca życiu wytwórczemu, które sprowadziło większe poszanowanie mego i twego. A nawet według Pike'a „historii zbrodni” ilość kradzieży w okresie wojen, który kończy się z rokiem 1815, jest większą od ilości kradzieży okresu współczesnego. Zwróćmy się teraz do trzeciego czynnika wojowniczego — zemsty. „U istot rozumnych walka o byt rodzi napaścizność.” Napaść wywołuje napaść, „gdy dwie istoty mogą wzajemnie szkodzić sobie, prawdopodobnie uczynią to. „Walka wywołuje obronę natychmiastową, uderzenie za uderzeniem, lub też obronę ochronną—„zab za zab”, ta ostatnia jest zemstą; napaść ma na celu zdobycie, a zemsta dąży do utrzymania „status quo” spokoju; dlatego też u ludów pierwotnych, które nie posiadają innej broni ochronnej, zemsta jest obowiązkiem. Z czasem jednak zjawia się zasada „nieczynienia zła nikomu”. W prawie Manu czytamy: „nie rań nikogo, nie czyn przykrości nikomu. Nie sprawiaj cierpienia słowem lub czynem. Wobec rozgniewanego zachowaj spokój; gdy cię przeklina, błogosław mu.”

Jak widzimy, sankcja moralna zemsty z czasem ustępuje miejsca sankcji moralnej przebaczenia.

Zwróćmy się teraz do dodatnich przejawów

etyki: sprawiedliwości, ludzkości i pracy. Sprawiedliwość, która pojawia się już w zemście, świadczy dostatecznie, że zasada dobra istnieje nawet w rzeczach złych. Przeciwdziałanie zemsty na napaść jest pierwotnie wysiłkiem, który ma na celu uniknięcie napastnika, by zachować zdolność życia, określonego przez sprawiedliwość. Z czasem sprawiedliwość staje się ukaraniem napastnika w miarę szkód, które sprawił. Zemsta nie może jednak zachować granic równoznacznych napaści i kontr-napaści, zwykle jest ona silniejszą i zdradza stan chroniczny wojny grupy z grupą. Z chwilą, gdy społeczność oddaje się pracy wytwórczej regularnej, ten stan wojny staje się szkodliwym; by uniknąć go, dwie społeczności wchodzą w układy pokojowego spłacania szkód; w prowincjach Isabela, Negryci i Igorroci utrzymują rachunkowość, debet et credit głów ściętych.

Ze wzrostem odpowiedzialności indywidualnej grupa coraz mniej odpowiada za winy jej członka; prawo osobowe miasta znosi zupełnie odpowiedzialność grupy. Ciekawym jest fakt istnienia poczucia sprawiedliwości szczególnie w społeczeństwach pokojowych; gdy lepiej rozejrzemy się w tem zjawisku, zobaczymy, że nie jest ono nadzwyczajne; rzeczywistość — społeczeństwo pokojowe, t. j. żyjące z pracy ziemi lub przemysłu, posiada dwa czynniki: wartość pracy i jednostki. Te dwa czynniki usuwają zemstę, która szkodzi pracy wytwórczej, lecz nadają wartość szkodom, uczynionym pracy lub jednostce wytwórczej.

Dopełnieniem tego zjawiska jest fakt poczucia sprawiedliwości, niezależnie od idei altruistycznych. W społeczeństwach starożytnych, posiadających organizację wojskową i kooperację z góry narzuconą, poczucie sprawiedliwości i altruizmu były nierozłączne. Literatura chińska, perska, egipska i t. d. miesza często sprawiedliwość z ludzkością, lub ze szlachetnością. Zasada „nie czyn drugiemu, co tobie nie miło” nie wyróżnia obowiązków względem bliźniego, wynikających od sprawiedliwości, lub też od dobroci; nie posiada ona żadnych danych praw. Poczucie sprawiedliwości jest zupełnie inne, zawiera ono czynniki, egoistyczny i altruistyczny, poczucie świadome zarówno praw, które człowiek posiada, jak i wartości bliźniego, którego prawa są dla nas sympatyczne. Organizacja wojskowa może posiadać jedynie czynniki „dobroci”, a nie równoznaczności, jedynie ze zmniejszeniem anta-

gonizmów zewnętrznych i ze wzrostem kooperacji harmonicznej członków grupy — uczucia i idea sprawiedliwości mogą się rozwinąć.

Zwróćmy się teraz do humanitarności drugiego czynnika dodatniego moralności społecznej; humanitarność obejmuje wszelkie objawy sympatii, a zatem dobroć, litość i t. p.

Autor przypuszcza, że uczucie zarodkowe sympatii tkwi w ojcostwie, jest ono świadomością słabości bliźniego i przyjemnością przyjęcia mu z pomocą. Uczucie humanitarne nie zdradza się odrazu; Buszman zabija swe dzieci, a okazuje troskliwość w czasie choroby. Australczyk, który zabija starców i dzieci, jest dobrym krewnym. Istnieją ludy, u których uczucie sympatii jest prawie żadne; obok obojętności istnieje okrucieństwo czynne; chore często jest maltretowany. Okrucieństwo wszakże nie jest jedynie przywilejem dzikich; ludy cywilizowane nieraz odznaczały się umięjętnością zadawania cierpienia, Europejczyk, który głosi wiarę miłości, przewyższa często dzikich umięjętnością torturowania heretyków, czarowników lub przestępców państwowych. Przyczyny tego uczucia antyhumanitarnego trzeba szukać w czynnikach antypokojowych życia obecnego. Ludy prawdziwie pokojowe, jak Weddani, Tamienisi i inne, bez względu na ich stopień cywilizacyjny, są humanitarne i nie znają męczenia innych. Inoków prawo nakazuje dobroć dla sieroty, gościnność i braterstwo dla wszystkich. Mandingowie, kupcy Afryki środkowej, odznaczają się litością dla cierpienia. Wogóle trzeba przypuszczać, że ludy, które nie posiadają żadnych czynników wrogości, są solidarne i dobre. Sympatia zatem wynika ze spokoju i solidarności ludzkiej.

Jaki jest ów czynnik dodatni ludzkości? Czem jest owa solidarność, która zdradza spokój, sprawiedliwość i humanitarność? By na to pytanie odpowiedzieć, musimy się zwrócić do czynnika najpierwotniejszego grupy ludzkiej, mianowicie do pracy. Praca nie odrazu stała się przemysłem, „człowiek pierwotny poświęca całą swą energię na zbiór produktów naturalnych”. Człowiek poświęca nadmiar energii na walkę z innymi ludźmi. Pracę człowieka pierwotnego można podzielić na dwie kategorie: pracę, wymagającą siły i zręczności (polowanie, wojna) i nie wymagającą tych czynników (zbiór owoców).

W większości wypadków los plemienia zależy głównie od zdobyczy na wojnach lub na polowaniu, dlatego też społeczeństwo pierwot-

zwane, buleczki. Tacy na stole postawiła i rzekła:

— Za godzinę dalej pojedziemy...

Ubranie się nie zabrało Joasi czasu dużo. Wzięła do ust łyżeczkę konfitur ze słoika jednego i wodą popiła, powtórzyło to z konfiturą w słoiku drugim, zjadła jedną buleczkę i, gdy po drugą ręką sięgała, drzwi się otworzyły, na progu ukazał się jegomość średniego wieku, wyglądający bardzo poważnie, tym poważniej, że głowę, na której się szpakowacizna mocno przebijała, przykrywał mu kaszkiet urzędowy.

Joasię zmieszła ta wizyta niespodziana.

— Czy to ów gość przez Katarzynę zapowiedziany? — w myśli jej strzeliło.

Domysł ten potwierdziło wejście za jegomością Katarzyny. †

Wszedł, postąpił kroków parę, postąpił chwilę, obrzucił Joasię od stóp do głowy wejrzeniem badawczym i, na stołku usiadłszy, do Katarzyny się odezwał:

— Dobry gatunek... Pójdzie.

Następnie, do Joasi mowę zwracając, zapytał:

— Jakże się spało?...

Dziewczyna zmieszana odbąknęła w odpowiedzi coś, sama nie wiedziała co.

— Dobrze — rzekł jegomość. — Trocheś, moja panienko, zmęczona, ale to przejdzie... wypoczniesz. A tam dalej: jak sobie pościelesz tak się wyśpisz. Będzie ci jak w raj, jeżeli nie będziesz fochów stroiła. Bez fochów, bez

fochów tylko! — mówiąc to rękę podniósł. — My fochów nie lubimy i na nic się one nie przydadzą... Narowiste panienki chełznać umiemy.

Z taką powagą, takim tonem władczym wygłosił przemowę powyższą, że dziewczynie zaimponował. Wobec tej wyższości uczuła w sercu pokorę. Do odpowiedzenia nic nie miała, nie wiedząc do czego się ta nauka moralna odnosi.

Jegomość do Katarzyny mowę zwrócił:

— Prędko jedziecie? — zapytał.

— Już Nuchim konie zakłada.

— Dziś nie dociągniecie chyba.

— Przenocujemy w Paszkanach.

— Czy tam tylko prom chodzi?

— Nuchim się dowiadywał.

— No... — odezwał się jegomość wstając i znów do Joasi przemawiając. — Spodziewam się, że i ty będziesz kontenta i my będziemy kontenci. Cała rzecz, żeby fochów nie było... Bez fochów... bez fochów!...

Rzekłszy to, nie pożegnał się, wyszedł

Ta wizyta zagadkowa a urzędowa silnie na Joasi sprawiły wrażenie,

— Co to? — zapytała sama siebie.

Zaryzykowała się, kiedy już w powozie siedziała, zadać Katarzynie zapytanie następujące.

— Kto to był ten pan, co do mnie przychodził?...

— A to... pan starosta.

— Pan starosta? — wyraziła zdziwienie.

— Syn pani Kropilskiej... pan Piotr.

— O?!

— On sam...

— Gdzieżeśmy nocowali?...

— Gdzież, jeżeli nie w Botuszanach?...

— Na tureckiej stronie...

— Ehe... —

— Boże... — westchnęła.

Trwoga ją przejęła a przejęła dla tego właśnie, że znalazła się w krainie, która celem jej rojeń i pragnień była, która się jej pod postacią Eldorado, czy zakłętego zamku przedstawiała. To, co ją na wstępie spotkało nie zalecało się obiecująco. Ta noc straszna w brudnej izbie na walce ze snem i z czemś, co kłuło i piekło, spędzona? Ta wizyta starosty i jego nauka moralna? Fochy? Co to za fochy? Ona się do tej nie poczuwała wady. Zaznaczył ją jej mąż poważny i szanowny, — urzędnik. Cześć, jaką ojciec jej dla urzędników tego rodzaju wyznawał, i ją przemawiała. Starosta?.. Mówił o fochach, jako o warunku, którego nieobecność otworzy dla niej raj. Wspomniał o panienkach „narowistych”. Co by to znaczyć miało?

Dziewczyna gubiła się w odmęcie myśli, w lesie zagadek, których rozwiązać nie była w stanie. Czowała w sobie znużenie i znekanie zarówno moralne, jak fizyczne. Pierwsze naprowadzała na nią zagadkowość położenia, w jakie wpadła; druga pochodziła od nocy bezsennych, od dni spędzonych w podróży. Senność ją ogarniała, a sen myśli odpędzał.

ne czei siłę i odwagę nietylko przez zasługi bezpośrednio, lecz przez ich pożytek dla ple-
mienia. Czynności pokojowe, jak zbieranie
owoców, szukanie korzonków, nie wymagają
ani zręczności, ani siły, w dodatku nie przy-
czyniają się one bezpośrednio do zachowania
plemienia, z tego względu nie są szanowane.
„Uczucie pro-moralne naturalnie przejawia się
w pogardzie pracy.“ Wogóle zatem „zajęcia, nie
wymagające wiele energii fizycznej lub siły
umysłowej, są pogardzane“. Dopiero obecnie, gdy
zachowanie grupy nie zależy jedynie od woj-
ny, lecz również od wytwórczości, zjawia się
poszanowanie pracy po za walką.

Amerykanie północni szanują tylko polo-
wanie i wojny. Praca na roli jest godną
pogardy. Eskim poluje, lecz przygotowanie
lub zachowanie owoców polowania nie jest go-
dne mężczyzny. Dlatego też u Chippewa-
jów kobiety zanoszą do domu zwierzę, zabite
przez mężczyznę „Jak widzimy, egoizm męski
sprawia, że kobieta oddaje się pracy trudnej
i monotonnej, która nie pozwala się jej odzna-
czyć“. Robota jednostajna, nie mniej ważna
w życiu, jak grzmiące zdobycze wojenne, przy-
pada w udziale kobiecie. Kobieta gotuje ja-
dło, buduje dom, sieje i zbiera zboże; do ko-
biety należy zawarcie układu handlowego. „Nad
Nigrem dolnym kobieta zajmuje się drobnym
handellem i uprawianiem ziemi.“ Z czasem praca
„niższa“ wykonywana jest przez istoty „niższe“
innego rzędu, mianowicie przez niewolników.
Tym sposobem w czasach pierwotnych zjawia
się pogarda pracy i uczucie pro-moralne, ska-
zujące ją. Buszman uważa, że powinien żyć
z wojny i napaści. Arab prawdziwy pogardza
rolnictwem.

Ten stan podziału pracy nie może trwać długo;
z chwilą gdy „stan chroniczny wojny nie grozi
ludności, mężczyzna zmuszony jest wziąć
udział w pracy wytwórczej.“ Wtedy człowiek
pogardza handellem, ale czei rolnika i żołnierza.
Z czasem rozwój handlu zmusza dawnego żoł-
nierza do wzięcia udziału w obrotach, po-
średnio wytwórczych. Toż samo zjawisko po-
jęć moralnych o pracy znajdujemy u ludów
europejskich. Plato pogardza kupcem, ale sza-
nuje rolnika; Arystoteles zaznacza toż samo sta-
nowisko, pisząc, że robotnik lub najemuik nie
mogą prowadzić życia „cnotliwego.“ W czasie
wielkich wojen barbarzyńców zachodu, praca
rolnika lub myśliciela narówni były pogar-
dzane.

W miarę, gdy wojna przestała być jedy-

nem zajęciem człowieka, a klasy niższe, od-
dane zajęciom pokojowym, zdobyły prawo opi-
nii publicznej, praca zaczyna być uznawaną.
Dziś w Stanach Zjednoczonych i w Anglii wi-
dzimy zupełne uznanie wyższości pracy poko-
jowej, a nawet pewne poczucie moralne, „że
każdy powinien mieć swoje zajęcie.“

Z tego przeglądu widzimy, że pierwotne
warunki bytu napastniczego spowodowały pod-
ziału ludzi na wyższych i niższych, według ich
pracy; z czasem koło zajęć uznanych rozsze-
rzyło się i stworzyło nową sankcyę etycznej
pracy. To uczucie pro-moralne, wymagające
pracy dla pracy, stworzyło uczucie moralne,
które nie uznaje konieczności pracy, jako sku-
tku sankcyi, lecz uważa je jako wynik obo-
wiązku nakazującego zdobyć środki utrzy-
mania, a nie żądać ich od innych.

„Zasada podstawowa pracy polega na speł-
nianiu czynności, które pozwalają zaspokoić po-
trzeby nasze i zadowolnić nasze obowiązki spo-
łeczne. Zasada lenistwa polega na tem, że
człowiek bierze od ogółu środki do życia, a w za-
mian nie przynosi nic, co by przyczyniało się
do szczęścia ludzkości.“

Streścimy teraz ogólne zasady etyki spo-
łecznej.

Nim przejdziemy do określenia praw roz-
woju etycznego grupy, winniśmy uprzytomnić
sobie, że etyka społeczna „jest sumą form postę-
powania, przystosowanych do stanu asocjacji.“
Na wyższym szczeblu rozwoju, ludzie żyć mogą
jedynie na mocy kooperacji, mającej na celu
obronę zewnętrzną lub pomoc wewnętrzną. Za-
sady moralne, które przyczyniają się do rozwoju
dobrobytu grupy, trwają, bo ludzie, którzy
tych zasad się trzymali, wytrwali, w walce
o byt; z tego względu zasady etyczne poży-
teczne, stają się przedmiotem szacunku i sank-
cya czynu. Postępowanie, które szkodzi bezpo-
średnio grupie, jest piętnowane; teńorzostwo
i nieposłuszeństwo w armii, zabójstwo obywa-
tela, kradzież i t. p. są karane więcej niż przestę-
pienie praw wstydlwości lub umiarkowania,
które całości kooperacyjnej nie szkodzi. Etyka
zatem stale wyraża stan kooperacji grupy;
jeżeli grupa jest wojowniczą, zjawia się etyka
napaści, zemsty i posłuszeństwa; jednocześnie
grupa wojownicza pogardza pracą i nie posiada
sprawiedliwości równoznacznej.

Jeżeli grupa głównie oddaje się pracy wewnę-
trznej, kooperacja dla walki z nieprzyjacielem
jest bardzo zredukowana i napaść przestaje
być przedmiotem szacunku; zemsta nie jest ko-

niecznością, sprawiedliwość jest wymagalna
w stosunkach obywateli, a praca staje się obo-
wiązkem każdego. Rozwój nierównomierny
dwi form kooperacji w tej samej grupie wy-
wołuje sprzeczności etyczne pracy wytwórczej
i życia militarne. Ludy cywilizowane uznały
prawo indywidualne kobiety, której życie nie
powinno zależeć od życia jej męża; inaczej
rzecz się ma u Fidżyjczyków; żona wodza
umiera wraz z nim; to uczucie nie jest tylko
udziałem pana, lecz i tej, która mu się pod-
daje. Jak widzimy, uczucie pro-moralne jest nie
tylko posłuszeństwem silniejszemu, lecz przekon-
aniem, że człowiek, nie ulegając sankcyi etycz-
nej, szkodzi sobie i będzie karany.

Ewolucya etyczna nie pozwala nam uznać
apriorystycznej natury sumienia; teoria jednak
zmysłu moralnego zawiera jądro prawdy; fakta
wyżej wzmiankowane świadczą, że etyka nie
jest li tylko czynieniem dobrego. Jest ona
uznaniem sankcyi postępowania, które dla da-
nej grupy jest pożyteczne; wojna daje jedną
etykę, a pokój stwarza inną.

Fakt ten jest niezależny od rasy lub polo-
żenia geograficznego; etykę spokoju widzimy
w górach Indyi, w rasach mongolskiej, kola-
zijskiej i drawidyjskiej; życie tych ludów
świadczy dostatecznie, że „warunki które po-
zwoliły im nie prowadzić wojny, czynią ich
dobrymi z natury.“

Dlatego też „trzeba się spodziewać, że
i ludy wyższe staną się dobrymi z chwilą, gdy
życie przyjaźni zastąpi zupełnie wojny.“ W tych
warunkach „trzeba przypuszczać, że członko-
wie rodziny ludzkiej tak będą przystosowani
do siebie, że niezależnie od konieczności ze-
wnętrzych, nikt źle innym uczynić nie będzie.“

M. Golberg.

Medyumizm w osobie E. Palladino.

V.

W poprzednich artykułach wyczerpałem już
opis tych zjawisk, wywoływanych przez Eusa-
pię, które, podług mnie, obserwowalem w wa-
runkach jako tako wystarczającej kontroli lub
też sprawdzałem w ten albo inny sposób. Osobi-
ście do fenomenów tych przywiązuję niejaki

W podróży upłynął dzień cały. Nad wie-
czorem odbyła się przeprawa promem przez
jakąś rzekę, poczem zajechano na noc do
domostwa żydowskiego. Joasi straszno się
zrobiło, gdy do izdebki dla niej przeznaco-
nej weszła. Wieczereę zjadła, położyła się;
w łóżku przejęło ją uczucie osamotnienia, lzy
jej z ócz popłynęły — płakała i w płaczu za-
snęła. Zasnęła tym snem kamiennym, który
jest zwykłym w młodości, gdy znużenie nad-
mierne organizm oładnie. Ze snu takiego
rozbudzić nie sposób. Można uspionego tar-
gać, szarpać, można mu nad uchem krzyczeć
i strzelać, można go z miejsca na miejsce
przenieść — nie rozbudzi się. Taki ją oładnął
sen w karczmie paszkańskiej i nie rozbudziła
się, pomimo że jej się niby śniło, że z nią się
dzieją rzeczy nadzwyczajne. Czuli, jakby by-
ła przewracaną, gniecioną, duszoną; to do-
znawała bólu, to wstrząsały nią jakieś drze-
nia słodkie. Sensacya lubości łączyła się
z przerażeniem. Ustawało to i znów się po-
wtarzało. Wreszcie się obudziła, w rozesp-
aniu poczuła, że jej coś zawadza, poprawić się
w łóżku i wygodniej ułożyć chciała; nagle
zerwała się a z ust jej sam przez się wydarł
się okrzyk przerażenia.

— Cichol... uduszę!... — syknął głos jakiś
z przyciskiem.

Po głosie poznała miszurysa.

— Uduszę!... — powtórzył.

Joasia na łóżku przysiadła, o ścianę się
plecami oparła, drzeć całem ciałem poczęła.

Miszurys, nie rzekłszy słówka więcej, po
cichu wyszedł i drzwi za sobą zamknął.

Dziewczyna nie umiała zrazu zdać sobie
sprawy z tego, co ją spotkało. Opanowało
ją coś na kształt obłąkania, które jednak
przemineło, ustępując miejsca rozpacy.

„Zabiję się!...“ — była jej myśl najpierwsza,
gdy władzę myślenia odzyskała.

Myśl tę nasunęła jej bliskość rzeki. Po-
stanowiła zamiar wykonać niezwłocznie. Z łóż-
ka wyskoczyła — do drzwi — drzwi zamknięte.

— Boże!... Boże!... — wywoływała co chwila,
po izbie na omacki krążąc, wyjścia szuka-
jąc, i do łóżka zbliżyć się lękając.

Próbowała okna. W oknie kraty, acz
drewniane, wyłamać się nie dały.

Więc sobie włosy rwała i boso w koszu-
li, po izdebce się tłukła.

Dzień zaświtał. Jak skoro nieco jaśniej
się zrobiło, usłyszała za drzwiami chód i
zgrzyt klucza w zamku. Zatrzymała się. Drzwi
się otworzyły — weszła Katarzyna.

— A toż co?... — zawołała tonem zdumie-
nia.

Joasia do drzwi się rzuciła.

— Dokąd?... — odezwała się Katarzyna,
drogę jej zastępując.

— Puśćcie mnie!... puśćcie!... — krzyknęła.

— Pół-goła, z głową rozczochraną... chcesz
się panienska ludziom pokazywać?!. Al.. Głup-
stwa jakieś!.. Fochy, czy co?.. Niechno się
panienka prędko ubierze, zaraz pojedziemy

i za trzy godziny najdalej będziemy u pani
Kropińskiej...

Wyrazy ostatnie niby balsam na zrozpa-
czoną podziały dziewczynę. Rozpłakała się.

— No?... co?... — przemawiała Katarzyna.
Niech się panienska nie turbuje... Pani Kro-
pińska na wszelaką turbacyę zaradzi i po pł-
czu przyjdzie radość... Proszę się ino ubie-
rać... A ot grzebień... a ot lustro... A nie wie
panienka, co się stało... — dodała po chwili.
Ten gałgan miszurys uciekł... Czy się utopił,
czy co?... A to gałgan!...

Tak rozmowną Katarzyna nigdy nie by-
ła. Wzbudziło to w Joasi ufność. Mocniej
zapłakała i:

— On!... — zaczęła.

— Co on?...

— On!... — znów zaczęła.

Musiła się Katarzyna długo dopytywać,
zanim się dopytała.

— A no!.. — zawołała. To on dlatego
uciekł... A łajdak jakiś!.. a huncwot!.. Ale
nie ujdzie mu to na sucho... Pan starosta do-
stanie go w ręce swoje i pasy z niego drzeć
będzie... Paniencie to nic nie zaszkodzi... Ooo!..

Tego dnia, około dziesiątej rano, dostała
się nareszcie Joasia do pani Kropińskiej, któ-
ra ją przyjęła uprzejmie, serdecznie nawet.

Dalszy ciąg nastąpi.

wagę, gdyż przynajmniej do pewnego stopnia namacalnie przekonałem się o takich faktach, które teoretycznie na zasadzie świadectw ludzi nnuki uznawałem już dawniej za możliwe. W ostatnich paru tygodniach ogłosił p. Ochrowicz w „Kur. Warsz.” dość szczegółowy opis udanych doświadczeń z Eusapią w warunkach, więcej odpowiadających wymaganiom naukowym. Są to: a) lewitacja stołu wobec medyum siedzącego przy szerszym boku stołu i przy kontroli kolan rękami; b) lewitacje stołu przy mechanicznej kontroli nóg medyum za pomocą odpowiedniego elektrycznego urządzenia, sygnalizującego dzwonkiem uniesienia stóp i wszelkie ich poruszenia na odległość większą, niż dwa cale; c) zmiana wagi stołu, zawieszono go na dynamometrze i niedotykanego przez Eusapię przy nogach jej, ściśle związanych ze sobą białą tasiemką, umocowaną na cholewkach całkowicie zapiętych bucików; d) doświadczenie z lampą elektryczną za kotarą, ustawioną w odległości odmierzonej i większej, niż krótkie stosunkowo nogi Eusapii mogłyby sięgnąć; e) podobne doświadczenie w dostatecznym świetle (bez stołu) z nogami E., leżącymi na kolanach obecnych, którymi gdy poruszała, uderzając w kolana kontrolerów, otrzymano uderzenia za kotarą analogiczne co do siły i tempa.

Więcej nowych i poważnych dowodów w kwestyi medyumizmu w obronie Eusapii, napisanej przez p. O. w „Kuryerze Warsz.” nie znalazłem, gdyż opis ukazującej się w rozcięciu kotary ręki eterycznej i wzmianka o rozszczepiającej się na dwoje pod wpływem poddawania ręce Eusapii, pozostawiają wiele do życzenia pod względem dokładności i ścisłości, co, naturalnie, nie wyklucza możliwości należącego urządzenia samych doświadczeń.

Wspominam o doświadczeniach tych w tem miejscu dlatego, że we wszystkich późniejszych wnioskujących rozmowaniach trzymać się będę w granicach sprostowań, poczynionych przez uczestników posiedzeń z osławionym medyum w Warszawie.

Obecnie uważam za potrzebne dla pełności obrazu dodać, jakie jeszcze fenomeny produkowała Eusapia, ale już w warunkach prawie żadnej, podług mnie przynajmniej, kontroli lub też niewystarczającej dla oceny zjawisk obserwacji. Do tej kategorii zaliczam: większą częścią lewitacji stołu i dotykań w ciemności, szarpanie za krzesło, za surdut, pociąganie za brodę; następnie pukania w stole, silne uderzenie w stół, którego raz tylko byłem świadkiem w zupełnej ciemności; przelatywanie przedmiotów z sąsiedniego stołu na ten, przy którym staliśmy, przyczem tabliczka szyfrowa dość mocno trąciła mnie po twarzy i uderzyła w koniec palca na stole leżącej ręki; przysunięcie pobliskiego fotela lub kozetki, znajdujących się w każdym razie w odległości mniejszej, niż ręka lub noga Eusapii, i tym podobne zjawiska w zupełnej ciemności. Ani odcisków na papierze okopconym, ani t. zw. bezpośredniego pisma wewnątrz na zawieszanych tabliczkach szyfrowych, ani wejścia krzesła lub stołu na stół, ani tym mniej uniesienia się Eusapii z krzesłem na stół nie obserwowałem zupełnie pomimo pewnych przygotowań np. papieru okopconego na drugim, na odległość ręki stojącym stolczku, tabliczek szyfrowych związanych i t. p. i chociaż produkuje tego rodzaju miały już miejsce w Warszawie lub w Rzymie, jak o tem przekonywają ustne relacje i „Nowy dział zjawisk“ Ochrowicza w „Tyg. Ilustr.“ z lata roku zeszłego. Nie był wykonywany przy mnie eksperyment z przyrzędem sygnałowym p. Rajchmana (opisanym w „Kur. Warsz.“), wiem tylko że były pewne poważne braki w tym przyrządzie.

Częściowo więc należy zaliczyć je do objawów nieudanych. Dokładna że tak powiem statystyka tych ostatnich ma także swoje nie małe nawet znaczenie i drugostronnie oświeca omawianą sprawę; tutaj mówić będą tylko o swoich obserwacjach.

W poprzednich artykułach wspominałem już: 1) o czterokrotnych nieudanych próbach poruszenia dzwonka na kablęczku, z tych raz przez nakrycie sukienne; 2) o niewywołanej lewitacji małego stolczka przy nogach Eusapii, na bok wziętych; 3) o niemożności zadzwonienia dzwonkiem za kotarą i przesunięcia stolczka również za kotarą z lewej strony Eusapii na prawą, i 4) o nieudanych z początku próbach

dotykań przez kotarę, dopóki medyum własnoręcznie nie założyło na stół pod swój i mój łokiec dolnego brzegu kotary.

Obecnie do tego dodam — przede wszystkim 5) nieudaną lewitację stołu wobec przywiązanych do krzesła nóg E. Było to na pierwszym naszym posiedzeniu i ponieważ wszystkim nam chodziło o jakieś choćby zwykłe dla medyum zjawisko byle w warunkach, wykluczających współdziałanie mechaniczny kończyn, po nieudanej próbie z trzymaniem nóg E. na boku, wybraliśmy na razie przywiązanie takowych do krzesła. Na propozycję Eusapii zgodziła się bez namysłu, ale w czasie przywiązania ciągle robiła uwagi, wtrącała się, odwiązywała i znowu związywała, poprawiając mój sposób wiązania na nodze prawej, a p. R. na lewej. Manipulacja ta trwała co najmniej 20 minut, wreszcie uznaliśmy zwiążanie za dostateczne, usiedliśmy jak zwykle i... niestety, pomimo długiego i cierpliwego oczekiwania, lewitacji nie było — były tylko boczne ruchy, mechanicznie rękami wywoływane. Wówczas Eusapia oświadczyła, że jest zmęczona i że drażnią ją przywiązane nogi, skwapliwie też sznurki sama porozwiązywała i zdjęła z nóg. Dalej seans w ciemności szedł względnie nieźle co do samych objawów. 6) Nieudana lewitacja tego samego stołu przy świecy niezacienionej, postawionej na posadzce pod stołem, przy którym w łańcuch połączeni siedzieliśmy. Oczywiście, że nie można-by lepiej wzrokiem skontrolować mechanizmu podnoszenia stołu, jak przy takim specjalnem oświetleniu nóg lewitującego sprzętu i działającego medyum, ale rezultat był żaden — świecę trzeba było zabrać. 7) Nieudane, pomimo kilkakrotnych usiłowań, uniesienie, bez dotykania, miniaturowego drewnianego stolczka przy wystarczającym oświetleniu, w mojej obecności, chociaż przed chwilą, jak zapewniało mnie parę obserwujących to osób, Eusapia wykonała ten eksperyment z całkowitem powodzeniem; gdy wyszedłem z salonu znowu udało się Eusapii wywołać to zjawisko. 8) Nieudane objawy świetlne, które, pomimo obietnic Eusapii, uczynionych na skutek żądań obecnych uczestników posiedzenia, bardzo często wcale nie miały miejsca, również jak i wspomniane dawniej zjawisko „saffro frèddo“.

9) Na czwartym nareszcie posiedzeniu, jak o tem już wzmiankowałem, udało się ułożyć pewien znośny program seansu, do którego były poczynione nawet odpowiednie przygotowania: stół w gabinecie został przymocowany do posadzki, ażeby tym sposobem przerwać stereotypowy bieg objawów. Na stole stało kilka drobnych przedmiotów: rajzbret na nóżkach niewielkich rozmiarów, dzwonek na kablęczku, radiometr Crookera, busola i t. p. Z początku chodziło o podniesienie dzwonka na kablęczku — wszystko to działa się przy dobrym oświetleniu dużej lampy niezacienionej, stojącej na biurku nieopodal — co nie udało się; potem o medyumiczne uniesienie rajzbreciku — nie udało się; potem widocznie zmęczona tem Eusapia prosiła, ażeby jej pozwolono eksperymentować jak zwykle, za to później postara się zaprodukować nieudane zjawiska; wstała od stołu, poszła do drugiego pokoju moczyć ręce w zimnej wodzie i wkrótce zaczęła swoje zwykłe produkuje w salonie ze stołem. Nie przeszło kilkunastu minut, gdy sama zawołała o rajzbrecik; oświetlenie było ledwie znośne, siedziałem przy stole dość blisko medyum, — z lewej strony kontrolerem był p. Reichman siedzący pod padającym na stół światłem.

Eusapia położyła ręce — jedną na drugą — na rajzbreciku w ten sposób, że palce, w tem i duży, prawej ręki skupione razem umieściła pomiędzy rozstawionymi dwoma palcami lewej ręki, przyczem dłonie leżały na płask; nie były one jednak spokojne, ale współ ze skupionymi palcami ręki prawej wykonywały jakieś nieokreślone i niewyraźne drobne ruchy, jak gdyby przebieganie palcami w miminalnych, bardzo minimalnych rozmiarach. Zaznaczam, jako fakt bezwarunkowo godny uwagi, że przy opisywanem doświadczeniu żadnych, absolutnie żadnych, zwykłych u Eusapii fizjologicznych objawów nie było, tym mniej po kilku chwilach medyum uniosło ręce, a rajzbrecik jak gdyby przymocowany lewitował również, ale nie poziomo; koniec bliższy medyum był znacznie niżej, tak, że przez parę sekund mogłem wyraźnie widzieć dalszą powierzchnię de-

seczki. Ponieważ z jednej strony Eusapia dostała za to „brawo“, z drugiej — wzbudziła pewne wątpliwości, tymbardziej, że ręce jej bezpośrednio przed eksperymentem oglądane nie były, prosiłszy o powtórzenie doświadczenia, na co Eusapia zgodziła się; manipulacja cała była bez zmiany, ale w chwili, kiedy zdawało się, że oto powinna nastąpić lewitacja, p. Rajchman, siedząc pod światło obok medyum, nagle schwycił je za lewą rękę i krzyknął „szpilka“, utrzymując że widział szpilkę, jak mu się zdawało, dość wyraźnie. Doskonale pamiętam, że Eusapia szybko wycofała prawą rękę, rzuciła się w tył, jakby broniąc się czy wyrażając przeczące zdziwienie — wogóle mówiąc, obserwacja moja pod tym względem, zanotowana na miejscu, prawie nie różni się od obserwacji, opublikowanych przez panów Rajchmana, d-ra Herynga i M. Gawalewicza. Natychmiastowa rewizja rąk nie wykryła w nich nic, pomimo, że Eusapia zlekka stawiła temu opór, ale oględziny rajzbrecika, niestety, dały materyalny dowód w postaci dwóch śladów ukłuc, pochodzących, sądząc z kształtu i wielkości, od ukłuc szpilką większych niż zwykle rozmiarów, przyczem mogę zaświadczyć, że jeden z tych śladów był położony ekscentrycznie i mniej więcej odpowiadał pozycji skupionych palców prawej ręki podczas eksperymentu.

Przy odpowiedniej próbie bardzo łatwo się się przekonać, że i forma, że tak powiem, tej lewitacji (niepozioma) doskonale zgadza się z całością zauważonych szczegółów! Dodajmy, że pomimo kilku prób, zaraz wykonanych, już „medyumiczna siła“ widocznie opuściła Eusapię, gdyż wszystkie próby, chociaż zmieniała warunki (w pierwotnych warunkach już nie próbowała) naprzykład, trzymając ręce na krawędzi lub też łącząc z palcami kontrolerów swoje palce i t. p., — wszystkie te próby były bezowocne i nieudane, dla tego też opis tego eksperymentu umieściłem w niniejszym artykule; przypominam, że i wykonanie programu nie udało się, gdy tymczasem wkrótce potem przy zgaszonym świetle (lewitacja stołu) nawet jeszcze przy półświecie, różne inne objawy szły gładko i szybko na tem samym czwartym posiedzeniu, o czem poprzednio pisałem.

10) Nieraz zdarzało się, że Eusapia nie chciała podjąć się nawet próby wykonania danego eksperymentu; tak było np., na trzecim posiedzeniu u d-ra H. gdzie stanowczo odmówiła żądaniom poruszenia dzwonka na kablęczku, nie podając motywów; raz odmówiła mi wywołania palcem ołówkowego znaku na moim mankiecie, a już najczęściej występowała przeciwko jakimkolwiek kolejnym, systematycznie uporządkowanym doświadczeniom; prosiła wówczas ażeby dać jej możliwość zaczęcia seansu w warunkach zwykłych, obiecując potem przejść do żądanych eksperymentów, ale trzy razy byłem świadkiem, jak się skończyło to tylko na obietnicy.

Analogicznie można by przypuszczać, że i w danej kategorii zjawisk (np. dotykania i t. d.) musiały Eusapię spotykać niepowodzenia tej samej natury; ponieważ jednak najczęściej, nawet prawie nigdy nie zapowiadała ona mających nastąpić objawów, sądu o tem wydać nie jesteśmy w możności. Tutaj zaś uważam za potrzebne nadmienić, że ogół posiedzeń zrobił takie wrażenie, jakoby tylko dwie kategorie zjawisk, produkowanych przez Eusapię, udawały się jej stale i na zawołanie, a mianowicie podnoszenie stołu i zjawianie się jakiegoś ciała dotykającego; tymi objawami Eusapia głównie walczyła, w wykonaniu ich czuje się najpewniejszą siebie i do nich jaknajprędzej zdąża po wszelkich nieudanych lub wątpliwych eksperymentach, widocznie więc jest specjalistką w tym kierunku. Już w poprzednich moich artykułach nagromadziło się trochę materyału, rzucającego cień na sporą część medyumicznych produkuje Eusapii — i mimowoli, jako nieuniknioua konsenkwenca nasuwa się myśl o świadomości lub bezwiednym kuglarstwie badanego i obserwowanego przez nas medyum — w pewnej ilości wywoływanych zjawisk.

Jak wiadomo p. Rajchman całość produkcji tych uważa za sprytne oszustwo, zaś p. Ochrowicz publicznie podjął się niewdzięcznego po-

dług mnie zadania—udowodnienia że całość wykonanych przez Eusapię doświadczeń na naszych wspólnych posiedzeniach (nie mówię w tej chwili o innych) jest bezwarunkowo pochodzenia medyumicznego. Ponieważ tymczasowo uważam tę całą sprawę medyumizmu za kwestyę czysto naukową, przekonywać więc nikogo nie zamierzam, tym mniej z kimkolwiek polemizować, ale rzecz uważam na tyle godną uwagi czytelników „Głosu,” że w przedmiocie tym „kuglarstwa Eusapii” czuję się obowiązany do wypowiedzenia kilku uwag, tembardziej, że i sam posiadam parę faktycznych obserwacji, uzupełniających spostrzeżenia innych uczestników posiedzeń pod tym względem lub też tylko z niemi zgodnych. Oczywiście stać będą na punkcie wiary w słowa uczestników posiedzeń — za czy przeciw medyumizmowi wypowiedziane, byle poparte osobistym spostrzeżeniem. Zobaczymy, że z łatwością da się uformować już dzisiaj spory akt oskarżenia przeciwko Eusapii, który może udowodni, że dużą część swych nadzwyczajnych produkcji zawdzięcza Eusapia sztuce, co jednak z pewnością nie przesądza całej sprawy medyumizmu wogóle. Ale o tem w następnym artykule.

Dr. J. Harusewicz

Z literatury i sztuki współczesnej.

III.

Kilka słów o teatrze włoskim. — Repertuar sceniczny. — Dramaty Rovetty. — Ich znaczenie. — „Dorina.” — „I Disonesti.” — Czem zyskuje Rovetta powodzenie. — Poetka Ada Negri. — Prądy współczesne.

Włoscy artyści dramatyczni, włoscy śpiewacy, tragiczne i komiczne stwarzający role, znani są w całej Europie i mniej czy więcej zasłużoną cieszą się sławą. Aktorki Eleonora Duze, Carloni, Talli, aktorzy: Rossi, Salvini, Maggi, śpiewaczki: Bellincioni, Toresella, Fraudin to dobrze znane postacie w teatrach z tej i z tamtej strony Alp. Zdawałoby się, że naród, który tyle i tak głośnych wydaje artystów dramatycznych, posiadać musi też znakomitą literaturę sceniczną, w której te talenta wychowują się, kształcą i urastają na—europejskie gwiazdy. Niestety jednak tak nie jest. Okazuje się nawet, że wielkość aktorów w odwrotnym stoi stosunku — dziś przynajmniej — do wielkości literatury. Tym artystom nie poezji potrzeba, ale ról. Zdobyci uznaniem dla swoich gestów, dla swej nerwowości, czy spokoju salonowego, dla swej gamy wykrzykników, sztuki omdlewania i umierania stają się zmorą, duszącą wszelką oryginalną produkcyjność autorów dramatycznych, wyrażając istną literaturę — rzekłbym — „programów teatralnych,” rozłożonych na tyle a tyle scen, w których wypadnie *divie*, lub bohaterowi scenicznemu całą swą pokazać sztukę. We Włoszech zrodziła się ongi komedia buffa, improwizowana przez zdolnych artystów w ramach bardzo luźnie zakreślonego planu wypadków na scenie. Nie o wiele dziś lepiej się dzieje. Tak zwany „konwersacyjny” dramat tem się trzyma, co w nędzny dyalog włoży aktor mimiką, ruchami i sztuką wygłaszania. Ci wielcy artyści mają nieprzewyciężony wstręt do wielkich geniuszów literatury. Szekspir, Calderon a nawet Molière i Goldoni są im za prości, za głęboicy w swej prostocie i za rubaszni. Bożyszczą ich to Sardou i Dumas. Czasem któraś z półbogiń teatru do łaski swej dopuści Racine’a a nawet—o horror!—Ibsena. Sara Bernhardt gra „Fedrę,” Eleonora Duze „Nore.” Publiczność jest bardzo chwiejna w swych upodobaniach a zawsze gotowa to, co ją zajmuje, uznać za piękne! W teatrach rzymskich mimo nienawiści politycznej widzów przeciw Francuzom najwięcej pociąga dramat paryski. W rocznicę urodzin i śmierci, w dni pamiątkowe gra się i Goldoniego albo starego Paola Ferrari; ale wrażenie nigdy nie odpowiada czei głoszonej po gazetach starym mistrzom. Po cynicznych wiarołomstwach teatralnych z paryskiej „wolnej” sceny, pogodny humor nie star-

czy — a choć słuchacze czasem wygwizdają zaodważny utwór francuski (jak np. w Teatro Valle Henryka Becque’a „La spola”), jednak Sardou, Ohnet, Dumas zdobywają sobie zawsze uwagę i uznanie.

Z utworów zaś oryginalnych te najwięcej cieszą się rozgłosem, które na wzór francuskich dramatów kreślą typy współczesne w ich ścieraniu się z otoczeniem, w ich walce o jakąś prawdziwą, czy paradoksalną tezę. Pogłębiania psychologicznego nastroju, analizy i symboliki Włosi w teatrze nie cenią. „Upiory” Ibsena spodobały się dzięki fabule — „Wróg ludu” nie znalazł zrozumienia u publiczności a jeszcze mniej „Budowniczy Solness.”

Tak działa też więcej fabułą i wypadkami zewnętrzными i głośny dramatyk Gerolamo Rovetta, którego jedno dzieło: „Lekeya” przyjęte zostało do repertuaru nadwornego teatru w Wiedniu a dwa inne „Dorina” i „Nieuuczeiwi” (I disonesti) dostały się na austriackie i niemieckie sceny drugorzędne i zyskały ogromne powodzenie.

Rovetta umie przedewszystkiem zająć. Jest to zaleta tem większa, że widoczne są i u niego wpływy naturalistycznej szkoły, nakazującej prostotę fabuły, jasność i zwięzłość dialogu i wyklinającej wszelkie sztuczne zawikłanie. Wpływy te okazują się już w samych uwagach o sceneryi, w wyraźnej tendencji przedstawiania „milieu” z jaknajdrobniejszymi szczegółami i w tematach wiecznie tych samych upadłej kobiety i wiarołomstwa. Rovetta bardzo dokładnie charakteryzuje swoje postacie, a choć nie dosięga, ani nawet dosięgnąć nie usiłuje, do delikatnej analizy serca ludzkiego skandynawskich pisarzy, jednak pod tym względem o niebo całe przewyższa Dumasa i Sardou. Za to ustępuje tym ostatnim w sztuce efektywnego kończenia scen i aktów. Natomiast uderza u niego w dwóch głośnych dziś dramatach („Dorina” i „Disonesti”) sposób rozwijania. Przynajmniej on nowelistów włoskich i ich niespodziane „concetti.” Takie niespodzianki sceniczne zwłaszcza w końcu dramatu, choć przyczynić się muszą do obudzenia tem większego zajęcia widzów, w gruncie rzeczy sprzeczne są z całą naturą dramatu wogóle — i potrzeba na ich usprawiedliwienie poetyczne wielkiego talentu. Otóż talent ten posiada Rovetta niezawodnie — i zapewne też słyszeć o nim będziemy coraz więcej i częściej w najbliższej przyszłości.

„Dorina” jest historią niewinnej dziewczyny, która jako guwernantka nieszczęśliwie zakochawszy się w synu swej chlebodawczyni baronowej Castelfranco, opuścić musi poseąd, staje się śpiewaczką i wpadłszy w ręce impresaryów — rajfurów wychodzi na światową damę, kurtyzanę sceniczną, aż wreszcie legalizuje swoją dwuznaczną karierę małżeństwem z dawniej ukochanym baronem. Budowa dramatu w trzech aktach, z których każdy stanowi niemal odrębną całość, jest bardzo oryginalną i dała pochochod do przeróbki utworu na trylogię operową, którą wystawić mają w najbliższym sezonie we Włoszech. W pierwszym akcie Dorina, niewinna, serdeczna dziewczyna, ucząca dwunastoletnią baronównę Adelinę Castelfranco, zwalcza swoją miłość do młodego barona Mikołaja, stojącego pod opieką surowo arystokratycznej matki. Nie wolno jej stracić posady, gdyż ma starą matkę, którą musi wspierać a młody baron szepcze jej wciąż tak gorące wyznania! Atmosfera staje się duszną. Kuzyn Mikołaja hr. Gigi daremnie usiłuje sprowadzić stosunek obojga do miłości, zwyczajnej między guwernantką i córką biednej wdowy, udzielającą lekcji w rodzinach arystokratycznych. Matka Mikołaja dowiaduje się, że Dorina zanadto podoba się synowi, oddała przeto guwernantkę z domu a syna wysłała, aby trochę podróżował. Oto osnowa pierwszego aktu.

Charakterystyka wszystkich postaci bardzo ostra. Mikołaj bez woli i energii chłopiec, hrabia Gigi arystokrata, który się uważa za uprzywilejowanego do uwodzenia kobiet niższych warstw społecznych. Dorina szczerą i pełną talentów a nieznająca wcale niebezpieczeństw życia dziewczyna, jej matka prosta i pokorna w biedzie wdowa po portyerze hotelowym—wszystkie osoby tak wyraźnie są skreślone od pierwszej sceny, w której występują, że czytelnik może wysnuć całą dalszą akcję, choćby książkę odłożył po pierwszym akcie, a choćby

inną wymyślił fabułę, ról w niej odmiennych bohaterom nie wyznaczyłby od tych, jakie stworzył sam poeta. Ale Rovetta chce przedewszystkiem opowiedzieć losy Doriny, chce stworzyć jeden z typów częstych śpiewaczki-wietrznicy. W drugim akcie Dorina straciwszy matkę walczy z nędzą straszną; cały jej nieznaczny kapitał dwóch tysięcy lirów skradł jej jeden impresaryo, który jej miał miejsce przy teatrze zapewnić—a teraz znajduje się w domu byłego nauczyciela śpiewu i jego żony eks-aktorki, aby kształcić się i wyszukać zajęcie przy jakiejś scenie. Godne małżeństwo komedyantów wyzyskuje do ostatka biedną dziewczynę, zabiera jej ostatni centym a zmusiwszy do podpisywania weksli, chce ją sprzedać pierwszemu lepszemu agentowi za śpiewaczkę i—konkubinę. (Mówią, że nie tylko we Włoszech, ale i z tej strony Alp podobne zdarzają się historie!)

Dorina napisała była Mikołajowi raz i drugi, ale lekkomyślny baron dawno już zapomniał o jakiejś tam głupiej guwernantce, którą kiedyś kochał. A wie on i jego zacny kuzyn hrabia Gigi Albano, w jak niebezpiecznym znajduje się otoczeniu. Ale co to go obchodzi? Hrabia Gigi robi nawet obliczenia, że trzy miesiące pobytu w domu eks-komedyantki i maestra śpiewu wystarczą dla Doriny, aby ją usposobić życzliwie dla kochanków z arystokracji. Mikołaj z kompletną obojętnością nauczył się wszystko traktować i przychodzi też, znużony się w podróży, wraz z kuzynem spróbować szczęścia u Doriny. Strasznie jest rozczarowanie biednej dziewczyny, która z wszystkich bólów spowiada się Mikołajowi, spodziewając się ratunku a w odpowiedzi otrzymuje tylko radę, aby starała się w impresaryów dogodniejsze wywalczyć warunki, wreszcie odczepnego bilet na 500 franków. Bilet ten zabiera gospodyni a Dorina płacze z rozpacz, że tych pieniędzy nie może odesłać niekzemnikowi. W tem zjawia się hr. Gigi Albano i robi jej propozycję, aby opuściła ten straszny dom i sprrowadziła się do niego—naturalnie żąda od niej za to „trochę przywiązania.” Albano daje jej swój adres Via Solferino 27 i odchodzi. Na tem kończy się akt drugi.

W trzecim akcie Dorina jest sławną śpiewaczką, liczy tuzinami wielbicieli, ma pyszne salony; jej występy to szereg tryumfów, gazety o niej piszą, stary książę, mieszkający w Neapolu, jeden z gorących jej czcicieli zaprasza ją do siebie. Przed odjazdem zgromadza się kółko rzymskich przyjaciół u niej, jest baron Mikołaj szalennie rozkochany teraz w Dorinie, ale aktorka niezem go nie wyszczególnia, owszem sztucznie zazdrość jego podsycia i namiętność. Mikołaj wie, że ludzie opowiadają sobie różne historyjki o śpiewaczce, że krąży rejestr po znajomych o szczęśliwszych od niego kochankach, ale nie chce temu wierzyć! Upór Doriny przyprowadza go do takiego szaleń, że myśl się w nim rodzi poślubienia śpiewaczki. Daremnie wydrwiwiają go Saugiorgio i Albano, który, powołuje się na Dumasa, że zbytecznym jest ożenić się z kobietą, jeśli to nie jest rzeczą konieczną. Mikołaj wprost pyta hr. Albano, czy może on z własnych doświadczeń coś zarzucić honorowi Doriny. Hr. Albano, choćby mógł może coś opowiedzieć, zamilknąć musi. Mikołaj, drżąc z wzruszenia, prosi Dorinę o łaskę, aby mógł zostać jej mężem, te samą Dorinę, którą niegdyś matka jego zimno z domu wygnała a którą on później w tak straszny sponiewierał sposob. Aktorka odracza swój odjazd do Neapolu a baron Mikołaj musi dać gwarancję—Dorina dziś ostrożna. Jutro przyjmie odwiedzin Mikołaja. Rozmówią się i—ugodzą. Na tem dramat się kończy.

Jeśli w „Dorinie” udało się przecie opowiedzieć historię dziewczyny pięknej i utalentowanej, a skazanej w dzisiejszem społeczeństwie na zepsucie, jeśli zgrozą przejąć musi cały akt trzeci, mimo na komedię zakrawającego zakończenia—bezlitośnem odmalowaniem kobiety, która straciła ideały i świat traktuje, jak na to zasługuje — to większe daleko znaczenie musi mieć dramat drugi, który nie osoby pojedyncze kreśli, ale całe klasy, w którym czuć całą duszną atmosferę w dzisiejszych Włoszech, atmosferę przeniewierstw bankowych, marnotrawstwa i życia nad stan. Ten drugi dramat: „I disonesti” nagrodzony został przez rząd włoski jako najlepszy utwór sceniczny z roku 1893 sumą 5000 lirów. Musiał też zdobyć niebywale powodzenie. Jest bowiem nie

tylko zajmujący od pierwszej do ostatniej sceny, jest nie tylko od sceny do sceny też żywszy, namiętniejszy, ale zadziwia i zwięzłością rzadką, która w krótkich trzech aktach nagromadza tyle stanów psychicznych, że starczyłoby ich na kilka dramatów, i tendencją, która nie narzuca się, ale z wypadków kreślonych wypływa sama przez się, i charakterystyką, wprost niezrównaną, pojedynczych postaci.

Karol Moretti jest szczęśliwie żonatym, biednym urzędnikiem. Żona Eliza, córka egoisty próżniaka Orlandiego, który zawsze tylko plany układa do poematów i utrzymywać się daje w domu zięcia, otrzymała wychowanie bardzo niedostateczne, nie umie się powściągać w swych potrzebach, łaknie zbytku, strojów, biżuterii— a mąż, którego szczerze kocha, zarabia zbyt mało. Wspiera młode małżeństwo były kupiec, zubożony handlarz konfekcyj, który niegdyś opiekunem był Morettiego—Józef Sigismondi. Eliza przyjmuje datki a przyjmować je musi, kiedy Moretti zachorował. Sigismondi ujmuje sobie Elizę, wkłada się w jej zaufanie i, zaprosiwszy ją raz do siebie, haniebnie je zdradza. Uwiedziona kobieta nie może się zdobyć na wyznanie wobec męża — milczy o wszystkim i bierze dalej wsparcia Sigismondiego, już nie na drobne potrzeby domu tylko, ale setkami lirów na toalety. Karol Moretti cieszy się, że żona jego umie tak dobrze gospodarować i bardzo surowo sądzi o postępkach jednego urzędnika bankowego, który sumę mu powierzona sprzeniewierzył, a którego żona prosi Morettiego o pomoc.

Ale zbiera się burza nad jego domem. Sigismondi w jakiejś awanturze miłosnej stracił życie. Eliza, zadłużona jak zawsze, nie może płacić rat w sklepach, w których zakupiwała stroje. Nасыlają jej rachunki, grożą—aż raz mąż dostaje taki list z rachunkiem do ręki. Zdumiewa się i przeraża wysokością długu żony, żąda wyjaśnień i—dowiaduje się o wszystkim, zwłaszcza, że z notatek w spuście Sigismondiego dawniej już wyczytał zgodnie z rachunkiem przysłany żonie, wpisy rat, płatnych tej samej firmie, która u Elizy dopomina się reszty.

Co tu począć? Żona go tak strasznie zwiódła, ale on to ukryć musi przed światem. Będzie dalej wydawał jak zawsze, będzie pracował nad siły, byle swej hańby nie zdradzić. Ale czy to się udać może. Pożycza i oddaje, a czasem z kasy bierze pieniądze— na kilka dni. Nie boi się odkrycia, bo ma kredyt u bankiera Saldiniego, który mu słowem honoru zaręczył, że pod koniec miesiąca pożyczy mu kwotę potrzebną. Ale Saldini sam zrujnowany przyrzeka tylko, aby kredyt swój podtrzymał. Moretti niema skąd pokryć deficytu bankowego. Tymczasem na rozprawie sądowej przeciwność Morettiego, Moretti tak gorąco bronił oskarżonego, że prokurator odezwał się: „gdybym był urzędnikiem banku po takich ze strony pana wywodach natychmiast zarządziłbym rewizję kasy panu poruczonej.” Moretti przychodzi w szalonej rozpacz i trwodzi do domu. Ani żona, ani miłość do dziecka nie przytrzymają go tu, ucieknie i kto wie, czy kiedyś zwiączy się ze swoją rodziną. Może. Ale czy kocha on kogoś? Chciał się zabić z rozpacz, a nie mógł „Nie miałem odwagi. Jestem tchórzem! Mam ci przysiąc na miłość do dziecka, że się nie zabiję?”—mówi do żony.—„O! uczciwość potrzeba, aby odwagę mieć, uczciwość, aby serce mieć, uczciwość, aby kochać. A ja jestem złodziejem i tchórzem—i ty, ty jedynie zawiodłaś mnie tak daleko. Idź!” Eliza w pół omdloną osuwa się na kanapę. Karol porywa swoje zawiniątko, potem wielką zdjęty litością bierze swoją żonę w ramiona, podnosi jej głowę, całuje ją—i wybiega z domu. Eliza wyciąga za nim ramiona i upada bez zmysłów.

Oto drugi dramat Rovetty. Treść nie nowa. Sytuacja kobiety, która uwiedziona została przez nieczemnika, tysiąckroć wyzyskana była już w teatrze. Dorina ma znanych przodków w literaturze scenicznej, tak samo, jak ma ch Eliza. Rovetta umieszcza jednak swoje postaci zwłaszcza Elizę i jej męża w najnowszym „milieu,” w otoczeniu dnia dzisiejszego. Czytelnik, przejrząwszy artykuły o korrupcji parlamentarnej, o kradzieżach kilkudziesięcio-milionowych w bankach, znalazł następnie w teatrze wytłomaczenie psychologiczne wypadków, które wstrząsały całą publicznością!

Czas nasz jest tak pełen problemów spo-

łecznych, politycznych, ekonomicznych, że żaden artysta nie może się od nich zupełnie uwolnić. Nie tylko mężczyzna, który zawsze stoi bliżej areny walk, ale młode autorki nawet nie zdołają się usunąć od wpływów hasel i programów dnia. Z najwyższych sfer—jeśli w nich żyją, jak baronowa Suttner, Ebner Eschenbach i inne pisarki w Niemczech—zstępują do warstw poniższych i deptanych, aby bronić ich praw. A im większym jest talent, tym zgłośniejsze jego uczucie etyczne z pojęciami o poezji i sztuce. I cóż dopiero powiedzieć o poetce, która z ludu wyszła i nędzę od dziecka znała? Jakże będą jej pieśni? Z nadzwyczajnym zajęciem rozczytuje się publiczność włoska w poezjach takiej poetki Ady Negri, nauczycielki dwudziestoletniej w Motta Visconti (małej miejscowości w Lombardyi). Poetka dawno osierocona ma tylko matkę, pracującą w fabryce. Jej wiersze opiewają zwycięstwo pracy, energii, miłości rodzinnej. Dziwnej piękności są wiersze: „Pogańska miłość” (raczej „Pogański pocałunek” „Bacio pagano”) Poetka kreśli na tle rozkosznej natury, parę całujących się kochanków. A i tam gdzie zużytych chwytów tematów, jak w „Autopsyi”—poetka umie być oryginalną w przeprowadzeniu idei. Lekarz stoi przed trupem biednej dziewczyny— a trup spowiada się ze swojej historii nędzy, głodu i bólu. Kiedy nóż zimny rozcina dziewczę jej ciało, ona klnie ostatnią kłatwą: „Szukaj tajemnicy w mem sercu, w mych trzewiach, szukaj zagadki strasznej cierpienia i głodu.”

Ada Negri nie doszła jeszcze do syntezy. Praca sama jest tylko jednym czynnikiem rozwoju— a po za rozwojem społecznym jest także inny jeszcze problemat— rozwoju jednostki i problemat— życia wogóle. Nowsza poezja francuska stara się te dręczące rozwiązywać kwestye— a polski poeta Miriam¹⁾ (Zenon Przesmycki) wymowny dał im wyraz w tomie niedawno ogłoszonych wierszy. Miriam jest mistrzem formy, którą, dzięki studjom nad francuską literaturą i nad polskimi i czeskimi pierwszorzędnymi poetami, włada jak mało który współczesny poeta. Opisy przyrody, nastroje, wiersze treści społecznej traktujące kwestye już nie warstw pojedynczych, ale bytu wogóle, opowiadania zapełniły kilka działów tomu wydanego. Poeta wychodzi na świat, odurza się pięknosciami przyrody, kocha wszystko i wszystkich i nie pyta jeszcze o cel życia (Upojenia). Ale pytania narzucają się. Na co żyjemy? dokąd dążymy? czy jest jakiś postęp? Zwątpienia te kreśli Miriam z nadzwyczajną szczerością i głębokim liryzmem, którego polot i siła są tym większe, że autor działa nie tylko prześlizniętym językiem, ale bogactwem zadziwiającym rymów, nowymi zwrotkami, jakich w polskiej poezji nie znano jeszcze i rzadkiem połączeniem wrażliwości na barwy i tony—tak że i malarz i muzyk z rozkoszą odczytywać musi te utwory. To jest dział drugi (Męty w puharze). Trzeci (Pojednanie) każe wierzyć głosom serca, nadziei wiecznie w nas żyjącej, że nie pracujemy na marne, że ludzkość postępuje i że cel jej jest szczytny. Tomem tym—zdanem mem—stanął Miriam od razu w rzędzie lepszych poetów współczesnych.

Ka - te.

BEZ OBŁUDY.

Spóźniona humorystyka p. Łaszczyńskiego.—Dwa jakie oświetlenie sprawy.—Wnioski ogólne.

Pan A. Łaszczyński, nominalny redaktor wydawca *Kuryera Świątecznego*, po dwudziestu sześciu latach cierpliwego podpisywania dowcipów cudzych, postanowił dać nam własną próbkę „swojskiego humoru” i ogłosił w *Gazecie Warszawskiej*, że, jako jedyny dotychczas właściciel pisma, *zawiesza* je dla wprowadzenia pewnych „ulepszeń” administracyjnych. Ani zmiana winiety tytułowej, ani wesele woźnego, chrzciny u głównego roznosiela, ani kupienie zielonych czapek chłopcom redak-

¹⁾ „Z czary młodości.” Kraków 1893 r.

cyjnym nie usprawiedliwiają. rzecz prosta, tego letargu małej gazetki, której każdy numer można było ręcznie pomalować w kratki lub paski, nie narażając jeszcze odbiorców na zwłokę kilkutygodniową. To też, nie bez powodu czytelnicy, przynajmniej warszawscy, od razu podejrzewali w owym „zawieszeniu” jakąś rodzimą humorystykę. Zabarwia się ona coraz częściej odcieniem czysto-miejscowym, dając nam przedsmak tego, jak moglibyśmy żyć i używać, gdyby się nie tułały pomiędzy nami resztki przesądów antyzłodziejskich. Jest to humorystyka wron przysłowiowych, które, posiadziawszy czas jakiś na krzyżu, uroiły sobie nie tylko, że ludzie im się kłaniają, ale że pokłony te są ich prawem najświętszym, a samo nawet drzewo krzyża powinno stać się ich własnością.

Mam nadzieję, że czytelnik jeszcze mię nie a nie nie rozumie, jakkolwiek głośna niedawno sprawa szkoły rzemiosł, sprawa *wyzyskania fikcji prawnej* powinna być przygotowana do chwytania w lot wszelkiej wrony, mającej usiąść na krzyżu. Ucieknę się jednak do pomocy obcej. Oto jak się przedstawia tenże zamach dziennikarski w oświetleniu *Kuryera Codziennego*.

„*Kuryer Świąteczny*, ten prawdziwy organ śmiechu, to istotnie najlepsze i najstarsze z naszych pism humorystycznych, zostało zawieszono przez p. Łaszczyńskiego. Kto jest p. Łaszczyński? W liście, drukowanym w *Gazecie Warszawskiej* podpisuje się tytułem redaktora (sic!) i wydawcy *Kuryera Świątecznego* i oświadcza, że *Kuryer* zawsze, aż do chwili obecnej był jego wyłączną własnością. To są słowa p. Łaszczyńskiego, a teraz słowa prawdy. Od lat dwudziestu kilku prowadził wyłącznie *Kuryera* Włodzimierz Płaskowski (Świąteczny), od lat dwudziestu kilku on był redaktorem i jemu współpracownicy wręczali manuskrypty a rysownicy rysunki i szkice, od lat dwudziestu kilku z rąk Płaskowskiego ciż artyści i literaci otrzymywali honoraria, przez lat dwadzieścia kilka Płaskowski dawał swój osobisty nakład pracy, zasilał *Kuryera* wybornymi swemi, zwłaszcza rymowanymi satyrami, przez lat dwadzieścia kilka, nadto, sam prowadził administrację, korektę, ekspedycję i t. d., co ciż sami pracownicy, których pewnej liczbie pan Łaszczyński był nieznanym, mogą świadectwem swoim stwierdzić. A więc p. Łaszczyński nie był ani redaktorem pisma, ani też jego wydawcą. Czemże więc był? Był koncesyonariuszem przysługującego mu prawa podpisywania pisma, ciągnącym zyski z „interesu”, w który nie wkładał nic, prócz wyłożonej niegdyś nieznacznej sumy na kupno pisma od Arka dyusza Kleczewskiego. Popularność, pożyteczność, wartość pisma zawdzięcza *Kuryer Świąteczny* wyłącznie i jedynie kierownictwu tyloletniemu a tak umiejętnemu Wł. Płaskowskiemu, jego pracy i pracy jego (a nie pana Ł.) współpracowników, których z nim łączył zawsze przez cały szereg lat węzeł sympatii i koleżeństwa.”

Tak mówi *Codzienny*. Do opowieści tej powrócimy za chwilę. Według innych, wrona jest o wiele czarniejsza. Przed dwudziestu kilku laty p. Włodzimierz Płaskowski, czując wstręt do „publikowania” nazwiska, zwrócił się do swego przyjaciela A. Łaszczyńskiego, proponując mu cierpliwie podpisywanie cudzych dowcipów, za co Łaszczyński, oprócz wdzięczności przyjacielskiej, otrzymywał miał wikt odpowiedni. Sumka, wydana przez niego na kupienie koncesyi już dawno, a z porządną nadwyżką, została mu zwrócona. W roku przeszłym, zapewne wskutek osłabienia ufności do przysięgłego uzurpatora, faktyczny właściciel i redaktor pisma zabezpieczył się o tyle, że umową rejentalną zapewnił sobie przynajmniej połowę własności. Obecnie, kiedy uroszczenia Łaszczyńskiego objawiły się już bez obłonek, sprawa przeszła na drogę sądową. Szafarze sprawiedliwości aż do chwili ostatecznego rozstrzygnięcia sporu nałożyli na wydawnictwo tak zwany sekwestr, pozbawiając w ten sposób pana Łaszczyńskiego prawa osobistego użytkowania z dochodów. Wtedy to właśnie wpadł on na humorystyczny pomysł „zawieszenia” pisma dla „ulepszeń” i korzystając z uprzywilejowanego stanowiska wydawcy pozbawił właściwego posiadacza i twórcę wydawnictwa jego warsztatu i zarobku... W oświetleniu *Kuryera Codziennego* p. Łaszczyński jest tylko zwy-

GŁOSY.

kłym plantatorem-wyzyskiwaczem, Gdyby nie sprawy ważniejsze, nie powrót Milana, nie pojednanie się z Bismarkiem, nie zaburzenia w Sycylii, można byłoby zapewne rozprawiać nawet o takich drobnostkach; ale w czasie obecnym byłby to przedmiot zanadto błahy. Zbyt często widzimy przedsiębiorców, którzy, wnosząc mały kapitał nakładowy, później ciągną już zyski z pracy albo talentu swych „pomocników”.

Gdyby p. Łaszczyński o tyle tylko zbroił, że, pragnąc uwolnić się jakoś od niepożądanego a krępującego trochę administratora, zawiesił pismo własne, moglibyśmy jedynie podziwiać jego zapalczywą naiwność w prowadzeniu spraw majątkowych i gorszyć się trochę (zawsze o ile pozwalają na to Milan, Bismark, Sycylia) z jego braku ludzkości względem długoletniego pracownika. W oświetleniu *Codziennego* jest więc pan Łaszczyński tylko nieludzkim nakładcą, w tem drugim oświetleniu jest on o wiele gorszym; lecz idzie nie o to czy zawiesił, na złość innemu, pismo, za które kiedyś zapłacił mało, lecz o to czy istotnie zawiesił na kołku sumienie, uczciwość, karność społeczną i obywatelską. Ogół przejdzie łatwo do porządku nad niesumiennym pryncypałem, ale surowo potępi rycerzów przemysłu, którzy z fikcyjnej prawnej, z wyjątkowego położenia i stanowiska robią sobie maczugę do miżdżenia długoletnich owoców pracy cudzej, cudzego zdrowia, cudzego talentu i zasługi. Pod takim podejrzaniem p. Łaszczyński ani przez chwilę pozostawać nie powinien, jeśli ma środki zrzućenia go z siebie, tak samo jak ogół ani chwili nie powinien ociągać się z napiętnowaniem surowem, jeżeli zarzut okaże się słusznym. Tolerancja nasza wobec takich i podobnych objawów swojskiego i coraz bujniej krzwiącego się „humoru” jest wogóle słodsza, niż potrzeba. Cokolwiek orzekną sądy ze stanowiska praw cywilnych i karnych, kodeks uczciwości obywatelskiej i główne jego narzędzie, opinia publiczna nie powinny byłoby pozwalać na tak długie tułanie się rozmaitych odmian potwarzy—gdy wieść bywa potwarczą—albo na bezkarne naigrawanie się ze siebie w rodzaju ogłoszeń o „zawieszeniu” — gdy raczej o powieszeniu może być mowa.

Niestety, nawet już dzisiaj żalodne albo drapieżne krakanie pomysłowych ptaków nie zawsze znajduje chętnych słuchaczy, a tem mniej czcicieli. Prawodawstwo wszystkich krajów cywilizowanych i nawpół cywilizowanych musi mieć jakąś jednostkę albo jednostki, na których, w danym razie, ciążyłaby odpowiedzialność za możliwe wykroczenia pisma. Różnica polega tylko na większej lub mniejszej niezawisłości wyboru owych jednostek, oraz na takich lub innych warunkach sankcji tegoż wyboru. Zastosowanie się do tych warunków i wzięcie na siebie odpowiedzialności prawnej bywa czasem rzeczą materialnego interesu, czasem przysługą obywatelską. Nazwisko staje się tu albo tarczą współpracowników, albo frakiem do wynajęcia. W pierwszym wypadku zyskuje się pewne prawa moralne wobec towarzyszy pracy, w drugim spienięża się własną skórę, w jednym uparta chęć utrzymania się na stanowisku jest brakiem taktu albo zdradą zaufania przyjaciół, w innym—bywa kradzieżą.

Ale osobistość odpowiedzialnego wydawcy i redaktora nie jest bynajmniej jedyną wobec prawa. Po za tą postacią firmową ogólny Kodeks wszelkich narodów liczy się z faktycznymi ekonomicznymi stosunkami wydawnictwa z majątkowymi prawami osób trzecich, a kodeks moralności powszechnej z faktycznym udziałem ich trudów, z prawem ich do wdzięczności i sławy. To też, miejmy nadzieję, że zarówno materialne prawa pana Płaskowskiego, jak i ostateczna a sprawiedliwa ocena sławy jego przyjaciela uległy chwilowemu tylko „zawieszeniu” ku istotnej „poprawie” pisma.

Maryan Bohusz.

Nowa Niwa.—Odczyty popularne.—Przegląd katolicki w kłopotcie. — Imiona żydowskie. — Reforma sądów gminnych.

(—) W artykule wstępnym, który wznowionej po raz drugi *Niwe* służy za rodzaj programu, redakcja zapewnia że stworzy pragnie niezależne czasopismo, poświęcone przeważnie sprawom literackim, któreby jednak nie pomijało naukowej i społecznej dziedziny życia. Nie zobowiązując się do holdowania żadnemu z góry określonego kierunkowi, redakcja obiecuje przecież zachować „zupelną bezstronność, wskazywać rzeczy po imieniu, wyciągać do światła ludzi oraz dzieła, które zawiść spycha w mroki, a stawiać pod pręgierzem system ręką rękę myje... tak często praktykowany w świecie literackim i artystycznym.” *Niwa* przeto otwarcie bierze rozbrat z „uświęconym przez tradycję” uznaniem dla powag oficjalnych i staje się niejako „salonem odrzuconych,” potrzebnym, niestety, w każdej dziedzinie życia umysłowego.

Dalszy ciąg numeru potrąca o niektóre kwestye na dobie, a więc p. J. Jankowski daje lekki, bardzo lekki policzek pozytywizmowi, który pieśniarza nie ocenił; w felietonie z dwóch tygodni nie pominięto sprawy Wyrwiczówny, mówiąc przeważnie o Chałczyńskim, bo to przecież — *salon des refusés*; Eusapia i spirytyzm zreczenie zaliczone zostały do spraw kuglarskich... Artykuły tłomaczone są wybrane bardzo dobrze, nie czynimy więc redakcyi zarzutu, że w braku oryginalnych pomieszcila ładne studjum Brandesa o Shelleyu i Byronie i urywki Roweli (listy z piekła). Za to z artykułów oryginalnych oprócz bardzo szumnych tytułów (Reformatorem wie świata przez A., Dusze i umysły B. Lutomskiego) żadna treść przy najlepszych nawet chęciach wycisnąć się nie da.

Jedyną przyjemną niespodzianką sprawiło nam studjum p. Br. Chrzanowskiego o Prusie i jego „Emancypantkach,” napisane żywo i oceniające nie według szablonu utalentowanego powieściopisarza. W dziele powieści *Niwa* pomieszcila początek nowelki Kosiakiewicza „Do Ameryki,” który raz jeszcze wyzyskał życie dzieciinne.

Numer okazowy jest tylko wstępem do właściwej działalności, redakcja ufa swoim siłom, może trochę naiwnie obiecuje *doskonale* wypełnić swe zadanie, ale oceniamy—dobre chęci i czekajmy, co będzie dalej...

(n) Zapowiadane już od wiosny r. z. odczyty popularne, nad urządzeniem których krząta się komitet damski przy warszawskim Towarzystwie opieki nad zwierzętami, mają się rozpocząć z końcem b. m. w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Odczyty te, jako przeznaczone dla niezamożnych warstw ludności, odbywać się będą co niedziela w godzinach przedwieczornych; wszystkich odczytów będzie 10, na taką bowiem ilość otrzymano zezwolenie właściwej władzy. Udział w nich wezmą następujący prelegenci: prof. J. J. Boguski, dr. Bujwid, dr. M. Flaum, E. Jankowski, S. Nestorowicz, dr. J. Ochorowicz, M. Osmała, A. Palmirski, dr. S. Sterling i W. Umiński.

O ile wiemy, niektóre odczyty odznaczają się bardziej interesującym tematem, a zwłaszcza odczyt d-ra Seweryna Sterlinga p. t. „Zasady higieny zawodowej” oraz 2 odczyty p. Marcina Osmały p. t. „O cechach i ich znaczeniu dla rozwoju rzemiosł” i „O wykształceniu rzemieślników w Warszawie.”

(p) *Przegląd katolicki* znalazł się w kłopotcie, z którego trudno mu będzie wybrnąć. Redakcja *Wędrowca* przedsięwzięła niedawno nowe wydanie ilustrowane Pisma Świętego i, starając się wszelkimi sposobami o zareklamowanie tego wydawnictwa, wyjednała dla niego błogosławieństwo papieskie. Tymczasem *Przegląd*, nie wiedząc o tem, zamieścił list ks. Zapalowskiego,

potępiający przedsięwzięcie *Wędrowca*. Zdaje nam się, że ze stanowiska katolickiego ks. Zapalowski ma istotnie rację, kiedy mówi, że czytanie ksiąg Starego Testamentu prostaczków nie zbuduje, niedowiarkom zaś dostarczy łatwej sposobności do drwin. Ale nie zmniejsza to wcale konfuzji *Przeglądu katolickiego*, który tym artykułem stanął w sprzeczności z łaskawem dla wydawców Pisma Świętego orzeczeniem Leona XIII, i potępił to, co Papież błogosławił. Ciekawa rzecz teraz, czy *Przegląd* zdanie swoje cofnie, czy też twierdzić będzie, że nieomylny Leon XIII omylił się lub był źle poinformowany.

(x) W ubiegłym roku p. oberpolicmajster Warszawy wydał rozporządzenie, nakazujące ażeby kupcy i utrzymujący zakłady handlowo-przemysłowe wyraźnie pisali na szyldach imiona i nazwiska. Rozporządzenie to miało na widoku przede wszystkim kupców żydów. Obecnie o tej sprawie *Warsz Dniownik* tak pisze:

„Kancelarya general - gubernatora warszawskiego odezwa z dnia 14 stycznia za Nr. 369 zawiadomiła p. oberpolicmajstra m. Warszawy, że ministerjum skarbu w porozumieniu z ministerjum spraw wewnętrznych pozostawilo do uznania p. general-gubernatora warszawskiego rozstrzygnięcie wniosku komitetu giełowego warszawskiego z dnia 5 listopada 1893 r. za Nr. 124, złożonego p. ministrowi skarbu. We wniosku tym komitet giełowy prosił o wstrzymanie prawomocności rozporządzenia general-majora Klejgelsa, zakazującego, w celu ścisłego zastosowania prawa, zmieniać żydom imiona i nazwiska, z którymi są zapisani do ksiąg metrycznych, i polecającego, ażeby na szyldach były wyraźnie oznaczane imiona i nazwiska utrzymujących zakłady handlowo-przemysłowe. Wniosek był motywowany tem, że wedle miejscowych kupców, powyższe rozporządzenie policyi może źle wpłynąć na interesa handlowo-przemysłowe. Ministerjum skarbu, odsyłając ten wniosek, dodało od siebie, że wywieszanie szyldu w duchu rozporządzenia p. oberpolicmajstra nie może doprowadzić do żadnych nieporozumień i zamieszania w handlu, lecz, przeciwnie, uporządkuje stosunki przemysłowo - handlowe, utrwaliwszy zaufanie do firm. Żądanie policyi nie pociąga za sobą zmiany samych firm, lecz redukuje się tylko do tego, że tekst szyldu ma ściśle odpowiadać firmie i podawać w całości imię, imię ojca i nazwisko tego przedsiębiorcy, który jest właścicielem zakładu i na którego imię wydano odpowiednie dowody handlowe. W dowodach zaś tych, wedle uwagi 3 do art. 924 Zbioru praw tom IX, Żydzi mają być wymieniani z temi imionami, z jakimi figurują w księgach metrycznych. Po wysłuchaniu okoliczności tej sprawy, p. Główny Naczelnik kraju raczył rozkazać powyższe rozporządzenie p. oberpolicmajstra pozostawić w swej mocy. Ogłaszając o tem policyi, general-major Klejgels polecił pp komisarzom cyrkulowym zarządzić wszelkie zależne od nich środki, aby do oznaczonego terminu, to jest do 15 (27) kwietnia r. b. powyższe rozporządzenie weszło w wykonanie.”

(p) Jak już pisaliśmy, projekt reformy sądów gminnych w Królestwie wniesiony został do Rady państwa. Według informacji dziennika *Ruskaja Żiżn*:

„Komisya sporządzająca projekt, wzięła na uwagę tę okoliczność, że sądy gminne dostatecznie zaaklimatyzowały się i ludność miejscowa do nich przywykła; dalej zaś, że zastąpienie ich przez oddzielnych sędziów pokoju byłoby droższe dla skarbu. Ztąd też uznano za niezbędne:

1) uregulować systemat wyborów ua sędziów gminnych, powierzwszy kontrolę nad wyborami osobom dozoru prokuratorskiego; 2) nadać prezesom zjazdów sędziów pokoju prawo głosu doradczego przy zatwierdzaniu ławników; przez gubernatorów 3) zaproponować gubernatorom aby ci przedstawiali p. ministrowi sprawiedliwości wybranych sędziów gminnych do zatwierdzenia, po porozumieniu się z prokuratorami i prezesami zjazdów sędziów pokoju: 4) powię-

kszyć kadencję sędziów gminnych i ławników do 6 lat; 5) nadać sędziom gminnym prawa służby państwowej; 6) ustanowić dla sędziów gminnych census umysłowy (najmniej świadectwo z ukończenia średniego zakładu naukowego); powiększyć pensję sędziów gminnych do rs. 1500 i zaliczyć osoby, które usuwają się z posad z powodu wyboru nowych kandydatów, do liczby urzędników spadłych z etatu, na ogólnych zasadach; 8) ułożyć instrukcję dla sądów gminnych, gdzie zamieszczone będą przepisy, dotyczące pociągania ławników do czynniejszego udziału w sprawach sądu w ogólności; 9) uregulować rewizję sądów gminnych i 10) nadać pisarzom gminnym prawa służby państwowej."

Korespondencya „Głosu.”

Z Plockiego.

Krwawo się zapisał początek Nowego Roku w kronice wypadków powiatu Przasnyskiego, gdyż we wsi szlacheckiej Krajewie popełniona została zbrodnia, która zaniepokoiła spokojnych o swe życie tej okolicy wolnej od rozbojów i napadów mieszkańców. Na domostwo szlacheckie cząstkowego Romana, cieszącego się opinią zamożnego człowieka, w styczniu napadli sąsiedzi w liczbie 13, podstępem dostali się do izby, zadusili służącą i jej chlebodawców, a dom z pieniędzy ograbiony dla zatarcia śladów przestępstwa podpalili. Znajdujące się na poddaszu palącego się domu sklepienie opadło na zabitych i uchroniło ich ciała od spalenia. Ślady gwałtownego uduszenia wykazały prawdziwą przyczynę pożaru i pomogły do wykrycia sprawców zbrodni. Wkrótce też wszystkich schwymano.

Bank włościański słabo dotąd funkcjonował w gub. Plockiej i tylko kilka małych tranzakcyi udało się przeprowadzić przy jego pomocy. Obecnie parcelują się trzy folwarki. Osówka pana Jana Załuskiego w powiecie Mławskim 681 morgów przestrzeni licząca, idzie po 1200 rs. za włókę; Humięcino-Andrychy p. Józefa Rapackiego w Ciechanowskim 694 morgów powierzchni, sprzedają po 2000 z górą; wreszcie w powiecie Przasnyskim zbierają oferty na Czernice, Borowe mające obszaru 48 włók. Ten ostatni folwark nabył w listopadzie z licytacji Towarzystwa kredytowego ziemskiego p. Dobrosław Kleyna, adwokat przysięgły z Piotrkowa, a nie żaden lichwiarz, jak o tem w „Głosie,” „Wieku,” „Gazecie rolniczej” i innych pismach w końcu roku zeszłego podawano.

Umowy na rozsprzedaż ziemi zawierają się z trudnością, gdyż żądana cena w majątku bez zasiewów, inwentarzy i od 10 lat niszczonego, 2250—2400 rs. za włókę, jest bezwarunkowo nadto wygórowaną. Przy tem niskie ceny produktów rolniczych w r. b., obniżające dochód z roli, zniechęcająco oddziałują na amatorów kupna ziemi. Mimo bardzo licznych sprzedaży w roku zeszłym majątków ziemskich, cena ziemi dotąd jeszcze się nie unormowała: często za zniszczony folwark płać z górą po 2000 rs. za włókę (Górki, Grudusk), kiedy znów za majątki urządzone, z fabrykami i lasami, nie można tej sumy osiągnąć (Zielona, Liberadz).

Duchowieństwo w gubernii Plockiej zabrało się w ostatnich latach do wznoszenia nowych kościołów, dzwonnice, kosztownych oparckanek, restauracyi starych kościołów i budowania obszernych, murowanych, blachą krytych plebanek (Ligowo, Zielona, Radzimin w Ciechanowskim). W okolicach Mławy w r. b. rozpoczynają budowę trzech nowych kościołów: w Grudusku, Wyszynach i Dlutowie, a w parafii Przasnyskiej, gdzie jest pięć kościołów, starają się o budowę nowego kościoła w Rostkowie, miejscu urodzenia Św. Stanisława Kostki i o przebudowanie drewnianej kaplicy na murowaną w cudownym miejscu w Bartni-

kach. Dokonywanych reperacyi, odnawian trudno przeliczyć.

Przemysł rolny najpomyślniej rozwija się w Płockim, gdzie urodzajność ziemi, bliskość fortecy w Nowogrodzie i Warszawy główne na to wpływają. W 1892 r. stanęła z dużym nakładem gorzelnia w Smardzewie, w jesieni 1893 roku puszczone w ruch gorzelnia w Łukowie, do dóbr Nacpolskich należącym, lecz ta dla braku wody jest nieczynną. W Radzyminie przy gorzelnii założono rektyfikację, która jest trzecią z rzędu fabryką destylacyjną w gubernii Plockiej; dwie starsze egzystują od lat kilku w Kroczewie i Trębkach. Czwarta wznosi się obecnie w Windykach, w powiecie Mławskim, razem z odbudowywaną po spaleniu gorzelnia. Wyroby rektyfikacyi trębskiej i radzyńskiej w okolicznych miasteczkach rugują wyroby warszawskich dystylarni, gdyż im nie ustępują w dobroci. Fabrykę sztucznych nawozów zakłada p. Bolesław Zdziarski, w Cieślach w pow. Plockim; wzmagające się stopniowo z każdym rokiem wśród miejscowych rolników użycie sztucznych nawozów mogłoby zapewnić egzystencję tej fabryce, gdyby wyrabiane produkty przy niskiej cenie, łatwych warunkach kredytu i dobroci towaru zdołały wytrzymać konkurencję z krajowymi i zagranicznymi fabrykami.

Wszelkie zaś wiadomości szeroko rozgłaszane z końcem zeszłego roku przez pana Stanisława Skarbka („Gazeta Rolnicza,” „Rolnik i Hodowca”), o mających powstać cukrowniach, krochmalniach, gorzelniach i fabrykach sztucznych nawozów przy stacyach kolei Nadwiślańskiej: w Mławie, Konopkach i Nasielsku, żadnych nie mają podstaw i robią tylko wrażenie pomysłów i majaczeń grafomana, dążącego do niepotrzebnego obalamowania łatwowiernych rolników, którzy, czytając to, cieszą z nadziei możliwości posiadania nowych miejsc zbytu na swe produkty.

W ostatnich latach, wielu rolników zaczęło uprawiać rośliny przemysłowe i nasiona w Płockim przeważa dążność do zakładania chmielników. Okolice Lipna i Ratowo w Mławskim, dostarczają cykoryi do Włocławka i Warszawy; okolice Mławy, Przasnysza i Ciechanowa stękają w jarzmie cukrowniczem, dla Ciechanowa i Krasinca sadząc buraki, których cenę przeciętnie do 1 rubla za 6 pudów dochodzą, mają z wiosną obniżyć o 5—10 kop. Jedynie kłopoty z drobińską szlachtą psują humor Majznerowi z Glinojeka, gdyż ta, buutując się z pomyślnym skutkiem już trzeci rok z rzędu, zmusza go do podniesienia cen na buraki i jest dowodem, że przy sprzyjających warunkach możemy się pochłubić wytrzymałością w solidarnem prowadzeniu interesów. Plantacye nasion buraków cukrowych w Plockim, Lipnowskim i części zachodniej Mławskiego, zaczął rozwijać pan Janasz z Dańkowa; w wschodniej części Mławskiego, Przasnyskiem i Ciechanowskiem pan Dziegielewski z Młodziszyna. Cóż, kiedy ceny płacone przez nich w stosunku 7½—8 rs. za worek 120 funtowy nasienia wobec osiągniętych w sprzedaży cukrowniom 18—24 rs. wywołują rozgoryczenie w tych stosunkach. Wreszcie p. Dziegielewski aby nie wchodzić w drogę cukrowniom przez odciąganie plantatorów buraków do produkcji nasion, zwinął swoje plantacye w dotychczasowym rejonie, a przenosi się w te okolice, gdzie cukrowniom nie będzie przeszkadzał.

Maryan Cyb.,

Przegląd Społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu.”) Zaznaczane już przez nas egzaminy ponowne majstrów i techników łódzkich odbyły się w zeszłym tygodniu. Podlegało im 233 osoby. Rezultat ostateczny wiadomy dopiero będzie w przyszłym miesiącu, przyczem osoby, które nie wykazały dostatecznej znajomości jednego z dwu

obowiązujących języków, będą musiały opuścić zajmowane stanowiska.—Tutejszy oddział ruskiego tow. popierania przemysłu i handlu, przesłał komitetowi centralnemu opracowany szczegółowo projekt do prawa o unormowaniu odszkodowań za wypadki przy pracy. Kwestya ma przejść wkrótce przez Radę państwa.—I dobrze i źle dzieje się na łódzkim rynku przemysłowym. Dobrze—bo zamówienia napłynęły obficie, kupey z Cesarstwa tłumnie przybywają po zakupy, tranzakcyi zawarto wiele—słowem—zbyt towarów nie pozostawia nie do życzenia. Złe zaś—bo gotowizny nie wiele, kredyt dość utrudniony, a protesty wekslowe nie są białymi krukami. Było przytem sporo drobnych „plajt” i parę większych upadłości, zarówno w Łodzi jak i wśród odbiorców. Co się z tej walki „dobrego” ze „złym” wykluje po skończeniu sezonu—nie wiadomo. Zapewne jednak „dobre” przeważa, skoro fabryki, pełne dobrej nadziei na przyszłość, pracują ze zdwojoną energią. Przędzalnie idą dniami i nocą, a kilka nowych wyrosło w ostatnich tygodniach. Jedni też zapewne z radości, drudzy—na pociechę, a wszyscy hołdując krótkiemu karnawałowi, bawili się, ile sił starożył, żegnając karnawał we wtorek udanym balem subiektów. Korporacya ta umie się bawić, ma dobrych organizatorów, i przywykła nawet pozwoli do twardej konieczności przystrojenia we frak demokratycznych pleców subiekta. Gorszych natomiast gospodarzy miewają u nas bale publiczne, dawane na cel dobroczynny. Dowodem ostatni bal na rzecz ochronki katolickiej. Niby to nie—drobiazg, nie wart może zaznaczenia—zawsze jednak nie przysparza chwały towarzyskiej szanownym gospodarzom balu, którzy, przyjmując na siebie takie obowiązki, albo wcale nie zjawiają się na stanowisko, albo też, zjawiwszy się, nie lub prawie nie robią. Świat od tego nie zaginie—jeśli porządek na balu będzie mniejszy, niż być powinien i może, nawet w tej drobności jednak przydało by się nieco więcej sumiennosci, nakazującej spełniać każdy obowiązek, bodaj „gospodarza” balu, tymbardziej, że bal taki przysparza kilkaset rubli jednej z najsympatyczniejszych instytucyi dobroczynnych Łodzi, przez niedołęztwo zaś gospodarzy może stracić tę siłę atrakcyjną, jaka tradycyjnie i ze wazech miar zasłużenie mu sprzyja....—Niechęć powodzi się operze łódzkiej, która już szóstą nowość daje publiczności. Maleje wprawdzie artyzm, brak głosów męskich, no ale, prosperując w tak ciężkich warunkach materialnych—lepiej być na razie nie może. Wogóle interesy teatru zbyt dobrze nie idą, choć winić go niema za co, bo robi co może—dodajmy—co warto dla tej dziwnej, niepojętej i kapryśnej publiczności.

Isar.

—o—

Sosnowice. (Kor. „Głosu.”) Jak wiadomo, Sosnowice są osadą; osoby, nie należące do stanu włościańskiego nie mają tu prawa nabywać gruntów. Ma się rozumieć zakaz ten w rozmaity sposób wymijano. Obecnie wielkiego popłochu narobiło tu rozporządzenie władzy, nakazujące żydom, którzy mieszkają na gruntach włościańskich, ażeby w ciągu miesiąca opuścili zajmowane teraz mieszkania. Żydzi postanowili wystąpić deputacyę do gubernatora z prośbą o uchylenie tego nakazu, albo, w ostatecznym razie o przedłużenie terminu do opuszczenia mieszkań. W Dąbrowie ma być zbudowany z funduszy składkowych teatr.

Levis.

Z CESARSTWA.

Petersburg. (Kor. „Głosu.”) Odbędzie się tutaj w tych dniach zjazd gubernatorów i marszałków szlachty tych gubernii, w których postanowiono w roku bieżącym zaprowadzić instytucye naczelników ziemskich.—Podobno władzom administracyjnym w całym państwie wydano rozporządzenie, aby pod żadnym pozorem nie puszczając na terytorium państwa ruskiego przesiedleńców z Galicyi i natychmiast odsyłać ich z powrotem. Jednocześnie odniesiono się do rządu austriackiego z odpowiednim zawiadomieniem o przedsięwziętych w tej mierze środkach.—Dostała tu niedawno wiadomość o śmierci konsula ruskiego w Erzerumie A. Kościeszki-Żaby, znanego uczonego na polu lingwistyki, numizmatyki i badań orientalnych.—W tych dniach wyjechali z Petersburga delegaci ruscy do Paryża na mającą się tam odbyć w dniu 7 bieżącego miesiąca międzynarodową konferencyę sanitarną. Zadaniem tej konferencyi będzie przedsięwzięcie środków, mogących zabezpieczyć Europę od cholery, zanoszonej z morza Czerwonego i zatok Perskiej.

Vasco.

demia nauk w Petersburgu wydawać ma kosztem 3500 rs., udzielonych ze skarbu, „Przeгляд bizantyski” w dwóch językach: ruskim i greckim.—Sztuka M. Barrés'a „Une journée parlementaire” została wzbudzona przez Radę ministrów. „Figaro” urządziła przedstawienie prywatne tej sztuki dla grona osób zaproszonych. — Wystawa sztuki fotograficznej odbywa się obecnie w Paryżu, w galerii Petit. Urządza ją paryski Photo-Club. Jury składało się ze znanych artystów pędzla i dłuta oraz fotografów amatorów. Na 2000 przysłanych okazów przyjęło ono zaledwie 511 fotografii.

—o—

Z prasy. Najmniejszą gazetą na świecie jest wychodzący w Torquay w Anglii dziennik p. t. „The Little Standard”, który ma zaledwie 7 centymetrów wymiaru. Swistek ten jest wydawany, redagowany i drukowany przez jednego człowieka, niejakiego Tocketta który ma stąd przyzwyczajenie.

—o—

Z sądu. Drugi wydział kryminalny sądu okręgowego piotrkowskiego na 3 dniowej kadencji w Łodzi miał w tym tygodniu do osądzenia 30 spraw karnych, z których aż 20 o zadanie ran, 6 o zobelżenie i obrazę przedstawicieli władzy i po 1 na inne przestępstwa.

—o—

Rozmaitości. Z Szanghaju donoszą o olbrzymich wylewach rzek Peiho i Tung. Nawet Pekin ma być zagrożony. Rząd chiński zamierza wezwać najzdolniej-

szych inżynierów europejskich celem zapobieżenia podobnym klęskom, zbyt często się powtarzającym. — Wielkie trzęsienie ziemi nawiedziło okolicę miasta Roszan w Persyi. W katastrofie tej zginęło przeszło 10000 ludzi i około 50000 sztuk bydła.—Liczba ociemniałych w Ameryce powoli, lecz stale się zmniejsza. W r. 1860 jeden ociemniały wypadał na 900 mieszkańców. W r. 1880 stosunek był już lepszy bo 1:1,025. W roku zeszłym znajdował się już tylko jeden ociemniały na 1,240 mieszkańców. To stopniowe zmniejszanie się liczby kalek w Ameryce, przypisać należy rozumnym i energicznym środkom, jakie stosują władze miejscowe do uboższej zwłaszcza ludności, gdzie zwykle wskutek niedbalstwa i nieświadomości rodziców—dzieci w pierwszym roku życia najczęściej podlegają ślepotcie. — Podczas gdy w Rosyi do piątego roku życia umiera dzieci 423 na tysiąc, w Bawaryi 405, w Austrii 390, we Francyi 341, w Pruszech 336, w Japonii—tylko 276. Tak mała śmiertelność dzieci tłumaczy się niezwykłą pieczołowitością matek japońskich, które karmią swoje pociechy przez 2 lata, a wynikiem tego jest nadzwyczajny wzrost ludności w Japonii. Ludność tego kraju w r. 1879 wynosiła 33 miliony, w r. zaś 1890 podniosła się do 40 mil. Jeżeli w tym stosunku ludność będzie się podnosiła, to za lat 50 Japonia będzie liczyła 80 mil. mieszkańców.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Kos. w Czupachówce. Valder'a „Szumowiny” tom II-gi można nabyć za 75 kop. z przesyłką.

P. J. Jan. w Nowogrodzie. Panna Natalia Krzyżanowska (Anatol Krzyżanowski).

P. Dr. Rydz. w Suw. Fiziologii prof. Cybulskiego wyszły 2 zeszyty; następne 2 są w druku—kiedy wyjdą, nie wiemy.

P. St. Gad. w Hucie C. „Handelek” rozpoczął się w N-rze 42-im r. z.; kosztuje 75 kop., z przesyłką 1 rubla.

Pani Zofii Leś. w Bujwól. Valder'a „Szumowiny” tom I-szy można nabyć za 75 kopiejek z przesyłką.

P. Dr. Rud. w Szakach. Do prenumeraty za rok zeszły brakowało kop. 20, które dodaliśmy z nadesłanych w zeszłym miesiącu rubli 3; w ten sposób na rok bieżący mamy rs. 2 kop. 80.

O G Ł O S Z E N I A.

Nakładem redakcyi *Głosu* wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach:

- Bellamy E.** W roku 2000. Wydanie 4 z rozdziałem dodatkowym i portretem. Cena kop. 60.
 „ Sposób dr. Heidenhoffa (z portretem). Cena k. 50
Biörnson-Björnsterne. Jednożeństwo i wielożeństwo. Cena k. 30
Boutmy E. Rozwój ustroju i stosunków politycznych Anglii. Cena kop. 80.
Brandes J. Umysły współczesne. Portrety literackie XIX wieku. Tom I. (Heyse, Renan, Andersen, Mill, Tegner). Cena rs. 1. Tom II. (Flaubert, Paludan Müller, Goncourtowie, Turgeniew, Ibsen, Björnsterne, Nietzsche.) Cena rs. 1
Brzeziński M. Co i jak lud nasz czyta. (Kwestyonaryusz). Cena kop. 5.
Fouillée. Sztuka, religia i moralność według Guyau. Cena rs. 1 kop. 20
Gliński K. Z zakutego grodu. Szkice fotograficzne. Cena k. 80
Herzen A. Zarys psychofizjologii ogólnej. Cena rs. 1.
Ibsen H. Wróg ludu. Dramat w 5 aktach. Cena k. 40.
Jelski W. Łużyce. Wrażenia z podróży, poprzedzone krótkim opisem kraju i jego dziejów. Cena kop. 30.
Karejew M. Zarys historyczny sejmku polskiego. Cena rs. 1.
Kielland A. Trucizna. Powieść. Cena kop. 60.
 „ Fortuna. Powieść. Cena kop. 60.
Morosz J. A kiedy ono nie takie. Studium z natury. Cena k. 50
Potocki A. i Wasilewski Z. Kwestyonaryusz w sprawie czytelnictwa ludowego. Cena kop. 10.
Ribot T. Filozofia Schopenhauera. Cena rs. 1.
Ritchie D. G. Darwinizm i nauki społeczne. Cena kop. 30.
Rosny J. H. Vamireh. Powieść. Cena kop. 50.
Spencer H. Zasady socjologii. 2 duże tomy. Cena rs. 4 k. 80
 „ Instytucje obrzędowe. Cena rs. 1 kop. 30.
 „ „ polityczne. Cena rs. 1 kop. 80.
 „ „ kościelne. Cena rs. 1.
Valdes. Szumowiny. Powieść. Tom I i II. Cena rs. 1 kop. 50
Grant Allen. Powieści dziwne.

KWESTYONARYUSZ

W sprawie czytelnictwa ludowego

napisał

A. Potocki i Z. Wasilewski.

Warszawa 1890 r. sr. 24 w 16-ce.

Cena 10 kop.

Ludwika Krzywickiego

LUDY.

str. 432, cena 2 rub. 50 kop.

Antropologia tegoczesna, jej metody i rozwój. Typy rasowe, ich rozmieszczenie na ziemi, oraz analiza zmieszania. Stan kultury u różnych ludów. Udział czynników antropologicznych w rozwoju społecznym, doboru, antropotechnika.

NASIONA

i

SADZONKI

drzew i krzewów leśnych, parkowych i owocowych poleca **po cenach w kraju najniższych** Zarząd lasów w Podzamczu, poczta **Sobolew**, gub. **Siedlecka**.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.
F. Różyński.

HERBATA

J. Z. RATYŃSKIEGO

do nabycia we własnych sklepach

W WARSZAWIE,

Aleje Jerozolimskie 84, skład główny,
 Marszałkowska 144.

Trębacka dom Szajblera.

NA PROWINCYI upraszamy żądać naszej herbaty we wszystkich sklepach.

Można nabyć w główniejszych księgarniach

Artura Gruszeckiego

TUZY

Cena Rs. 2.

Antoniego Sygietyńskiego

WYSADZONY Z SIODŁA

Cena rs. 1 kop. 60.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Дозволено цензурою, Варшава 28 Января 1894 г.

Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska 16.

Redaktor i Wydawca **J. K. Potocki.**